Nr. 42. Lwów, Niedziela dnia 17. Października 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XLII.

W SPRAWIE WYDAWNICTWA KSIĄŻEK SZKOLNYCH DLA SZKÓŁ LUDOWYCH.

II. Z wydawania polskich książek szkolnych nakładem c. k. uprzywilejowego wydawnictwa książek szkolnych (Schulbücherverlag) wynika:

1) Że niemieccy zecerzy i korektorowie, nie rozumiejąc tekstu, popełniają niezliczone błędy, których uchylenie jest nadzwyczajnie trudne.

2) Jakkolwiek korekty wysyłane bywają do Lwowa, trudnem jest porozumienie się z tymi panami, a bezbłędne wydrukowanie staje się prawie niemożliwem, gdyż jeszcze zawsze pozostaną błędy z ostatniej korekty.

3) Każdemu, ktokolwiek ma więcej doświadczenia w tym względzie, wiadomo, jak niezbędnem jest ciągłe porozumiewanie się autorów i korektorów z drukarnią, i ile niedostatków można w ten sposób usunąć. Wiadomo, że doświadczony autor nie dozwoli najmniejszej pracy drukować po za obrębem swego miejsca pobytu, i że dzieła nie drukowane pod okiem autora, wypadają jak najgorzej, W książkach dla szkół ludowych, które mieszczą w sobie liczne ilustracje, niedogodności te są bardziej rażące, a wykonanie i umieszczenie drzeworytów jest nieraz wprost przeciwne intencjom autora. Prócz tego nieraz o najdrobniejszą rycinę trzeba przeprowadzać z wydawnictwem obszerną urzędową korespondencję.

4) Jedną z największych niedogodności jest brak wpływu najwyższej krajowej magistratury szkolnej na ostateczne wydanie dzieł, brak nakoniec wiadomości, który nakład będzie wkrótce wyczerpanym. Z tego wynikają owe spóźnienia w wydawnictwie książek szkolnych, których wina cięży jedynie na wiedeńskich wydawcach.

5) Taniość książek szkolnych, wydanych we Wiedniu, jest iluzoryczną, i zwodzić nią można tylko ludzi, nie obznajomionych z drukarstwem. Wszakże zecer wiedeński i każdy pracownik drukarski jest tam droższy aniżeli we Lwowie, zwłaszcza, że składanie polskiej książki sprawia mu większe trudności, a korekta jest o wiele żmudniejszą. Taniość wynika tylko z ogromnej rozprzedaży książek, przeznaczonych dla szkół ludowych. Każda drukarnia lwowska może dać książki szkolne po tej samej cenie, co nakład wiedeński, a może nawet po niższej; każda może zadość uczynić zobowiązaniom, które wydawnictwo wiedeńskie wzięło na siebie, a roboty drzeworytnicze i litograficzne, jakoteż introligatorskie mogą być równie dobre i tanie, gdzie taki odbyt jest zapewniony. Drukarstwo podniosło się w ostatnich latach znakomicie, i mamy już drukarnie, które śmiało mogą konkurować z zakładami zagranicznemi. Wiadomo oraz każdemu, że papier drukowy produkować można po nader niskich cenach, jeżeli się zamawia wielką ilość w tym samym gatunku i w tym samym formacie.

Jeżeli teraz przypatrzymy się zabiegom Rady szkolnej w sprawie wydawnictwa książek szkolnych dla szkół ludowych, musimy przyznać, że uczyniła bardzo wiele w tym kierunku. I oto dowody:

1) Jakeśmy to zeszłego tygodnia wspomnieli, Rada szkolna ustanowiła komisję wydawniczą w miejscu i ponosi jej koszta z własnych funduszów. Nie bacząc na to, że zysk cały z wydawnictwa pozostaje we Wiedniu, a chcąc mieć jak najlepsze książki, ponosi Rada szkolna liczne koszta redakcyjne tychże książek, o których wydawnictwo wiedeńskie nawet słyszeć nie chce. Rada płaci za recenzje książek, za plany do nowych podręczników, dopłaca honorarja tym autorom, którym honorarja wydawnictwa wiedeńskiego nigdyby nie wystarczyły, ponosi nareszcie koszta poprawnych wydań, projektów do drzeworytów i t. p.

2) Rada wspiera komisję wydawniczą jak najusilniej, prace jej i wnioski załatwia nader szybko, i stawia je bezwłocznie na porządku dziennym swoich posiedzeń i udziela spiesznie swych uwag. Inspektorowie krajowi, ilekroć są we Lwowie, nie ociągają się z udzielaniem komisji swoich uwag, opartych na długoletnich doświadczeniach i nieraz nawet, znużeni całodzienną pracą, uczestniczą do późnej nocy w posiedzeniach komisji, jakkolwiek nie odbierają za to osobnego wynagrodzenia.

Ale te i tym podobne zabiegi nie mogą uchylić niedostatków, powyżej przytoczonych. Rada szkolna w dzisiejszem położeniu rzeczy nie może mieć wpływu na ostateczne poprawne wykończenie książek szkolnych, na przyspieszenie ich druku, i zastosowanie do potrzeb naszego kraju. Rada szkolna jest w tym względzie w położeniu rodziców, którzy dzieci swe powierzyć muszą pieczy ludzi obcych, nieraz im niechętnych; jest w położeniu gospodarza, któremu wprawdzie było wolno zasiać swoją rolę, ale za to zbiór musiał powierzyć obcym, niepewnym rękom.

Jedno tylko zarzucić moglibyśmy Radzie szkolnej, mianowicie, że nie domagała się dotąd dość energicznie uchylenia nieszczęsnego przywileju wiedeńskiego.

Nie wątpimy, że niejedno jeszcze dałoby się przytoczyć na niekorzyść wydawnictwa wiedeńskiego, czego w dziennikarskim artykule pomieścić nie można; wiemy, że osoby ze sfer szkolnych niejeden jeszcze argument ważny mogłyby dorzucić do naszych uwag. Kończąc, wzywamy wszystkich światłych obywateli kraju, którym zależy na wzroście oświaty ludowej, aby nas poparli w usiłowaniach, zmierzających do usunięcia przywileju wydawnictwa wiedeńskiego. Charakter prawny tego przywileju nie jest nam dokładnie znany: nie wiemy, czy jest odwołalny, czy nieodwołalny, czy może być wprost zniesionym, czy też musi być wykupionym. Na każdy wypadek nie powinniśmy się wzdrygać przed stosownemi zabiegami. Rada szkolna, delegaci polscy, Wydział krajowy, Sejm, Towarzystwo pedagogiczne, dziennikarstwo polityczne, a głównie p. minister Ziemiałkowski, który tak wytrwale broni naszych praw we Wiedniu, powinni działać w tym kierunku i podnosić tę sprawę z najrozmaitszych punktów widzenia, popierając ją licznemi i dosadnemi argumentami.

Naczelne kierownictwo wydawnictwa książek szkolnych powinna objąć krajowa Rada szkolna. Jej zadaniem będzie następnie rozwa-

żyć, czy może stworzyć w swem łonie odpowiednie organa administracyjne, czy też zmuszoną będzie oddać komu innemu pod ściśle określonemi warunkami całe wydawnictwo. Na każdy wypadek książki nie byłyby droższe, a musiałyby być lepsze, zysk zaś pozostałby w kraju. Przytem zmniejszyłyby się koszta, które Rada szkolna ponosi na wydawnictwo książek szkolnych, wyręczając w tem wydawnictwo wiedeńskie.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

IX.

W tej więc sali zastajemy zgromadzonych gości, widoczni już na wyjezdnem, bo wszyscy uzbrojenie już w czapki, kapelusze, kończą właśnie podawaną na ogromnej tacy, w maleńkich filiżaneczkach słabiutką herbatkę, koloru nader paljowego. Herbaty tej rozdawano zwykle mnóstwo u marszałka, jakby u źródła wiecznego na górze Mendoga. Herbata zastępowała u marszałka miejsce innego, a mianowicie winnego traktamentu. Pan marszałek uważał herbatę za trunek arystokratyczny i wielce salonowy, a mianowicie (to sobie myślał tylko) daleko tańszy od wina.

Pan kamerjunkier, syn pana marszałka, przed laty trzema, gdy wrócił z Petersburga, wspominał często, potakując ojcu i herbacie, że nawet u cara przy najznakomitszych traktamentach, gościom rozdają herbatę w małych filiżankach. Do innych więc zalet herbaty, prócz taniości, zdrowości, przychodziła jeszcze zaleta lojalności, do tego trunku czysto moskiewskiego przyłączonej.

Zdanie to wszakże o lojalności, stosowanej do trunków nawet, — choć w rozdawaniu herbaty zachowaną została — mocno się zmienić musiało w usposobieniu tak ojca jak syna, miarkując po głównym celu zgromadzenia, o którem mowa, i po rozmowie choć gasnącej ale ożywionej szlachty zgromadzonej.

Całej rozmowy od początku aż po jej koniec powtarzać nie będziemy, bo któż się podobnej rozmowy do syta nie nasłuchał w roku zbawienia 1862, (nie wiem czy już powiedziałem, że się powieść moja zaczęła w tym roku na początku jesieni). Wszakże z jej ostatnich ułamków, co jeszcze tu i ówdzie odzywały się, niby ostatnie strzały walnej bitwy, łatwo zrozumiemy jej cały wątek i znaczenie.

Zgromadzenie było dość liczne. Było ze trzydziestu szlachty, kilkunastu księży, a między nimi dwóch kapucynów. Widzimy także między gośćmi znanych już nam rotmistrza i pana Stanisława Wydrę. Powiódłszy oczami po twarzach zgromadzonej szlachty, przyznać trzeba było, że wyrazem ich ogólnym była jakaś serdeczna poczciwość, chwytająca za serce. Uwagę tę zresztą, mniemam, każdy już nieraz zrobił, gdy miał sposobność być w podobnem zgromadzeniu. Mimowolnie przyznać musi człowiek najwięcej uprzedzony, choćby przesiąknięty myślami i uczuciami najradykalniej odznaczonemi, że z twarzy naszej wiejskiej szlachty, z bardzo małemi wyjątkami, wieje coś zupełnie rodzinnego, coś tak naszego, tak dziwnie kordjalnego, na co składają się nietylko zalety serca dobrych ojców rodzin, poczciwych sąsiadów, do swej ziemi przywiązanych obywateli, ale nawet wcale zdrowy rozsądek, ten rozum praktyczny, zwany gospodarskim lub chłopskim, który się w całej szlachcie naszej, indywidualnie wziętej, odbija typowo bez wyjątku prawie.

Wyraz ten był w zgromadzeniu, o którem mowa, spotęgowany, i wzniesiony niejako zapałem jaki błyskał z oczów — zapałem tem szczerszym, że się obudził po cieniutkiej herbacie marszałkowskiej — i pewnem rozrzewnieniem, które się głównie odbijało w ruchach ich rąk, wyciąganych naprzód, jakby wzbierała serca zgromadzonych coraz mocniejsza ochota porwania się za ręce i uściśnienia serdecznego.

Wyraz ten jest tak bardzo typowym u naszej szlachty, że możnaby go niejako nazwać historycznym — bo też w rzeczy samej, przyzna mi to każdy, kto był obecnym przy takiem zgromadzeniu, jeżeli je rozgrzeje ciepło myśli lub uczucia, że w patrzącym, który miłuje swoją ziemię i rozumie choć dzieje tej ziemi, rozbudzić się musi mimowolnie jakieś uczucie, którebym sobie pozwolił również nażwać historycznem. Patrząc na te twarze tak serdecznie sympatyczne, przypomni on sobie naprzód twarze tych wszystkich swoich, których pochował, a po nich zaczną mu się przesuwać obrazy przeszłości dziejowej—większych zgromadzeń szlacheckich, czy na bój czy na radę zebranych—jak je sobie przypomina, czy z tego co czytał, czy z tego co słyszał w podaniu, w pieśni ojczystej, lub w młodzieńczem marzeniu o nadziejach, każdemu sercu polskiemu wspólnych. Jeżeli była w tym wyrazie jaka dysharmonja, jaki dysonans, to chyba w tej miękości wyrazu ogólnego twarzy zgromadzonych, którą w zgromadzeniu u marszałka spostrzegamy. Miękość ta — przypatrzmy się jeno głębiej i lepiej, — pochodzi widocznie z tej niederteminacji, jaką spostrzegamy we wszystkich prawie spojrzeniach, wahających się z jednej na drugą stronę.

Ta niedecyzja, ta niepewność wahająca się, jest jedyną a ogromną przywarą naszej poczciwej szlachty, ona to zaćmiewa i niszczy nieraz, bo bezpożytecznemi czyni, jej największe zalety. Przywara to także nasza zupełnie, przywara dawnego, w dawnej naszej społeczności nabranego narowu. Jest zapał, jest rzutność, ale samoistności często brakuje, bo w naszej przeszłości przyzwyczailiśmy się koniecznie oglądać na owych przewodników, *primates* chociaż *inter paribus*, których zdanie pociągało za sobą całe towarzystwa szlacheckie, gotowe rąbać i dać się rąbać za nich. Przyzwyczajeni do tego, i dziś jeszcze tych przewodników szukamy między potomkami owych prymatów, karmazynowych, których oligarchiczne dowolności i prywaty rozdzierały nieraz piersi drogiej ojczyzny, póki jej osłabionej do ostatka, nie oddały w ręce Moskwy. Ta słabość tradycyjna naszej polskiej szlachty stanowiła całą siłę naszej arystokracji, która pożerała, gdy tego potrzeba jej było, soki najżywotniejsze, na niej się opierała i pociągała tak często na niebezpieczne i ogółowi szkodliwe bezdroża. I tak nam trudno otrząść się z tej słabości, że ulegaliśmy jej po raz setny choć tylekroć już doświadczyliśmy, że ci arystokratyczni uzurpujący władzę przodownicy, przyznawali się do naszej solidarności, hołubili nas i cisnęli nas do guzików (bo nie do piersi) wtenczas tylko, kiedy przyszła chwila jaka ważna, gdy im tego było potrzeba.

Kiedy trwoga to do Boga! kiedy bieda to do żyda! — powiada stare przysłowie, A możnaby dodać: A gdy polityczne konszachty, to do braci szlachty!

Niechże przeminęła chwila potrzeby, już nie było solidarności! Korzyści wszelkie dla panów naczelnych, a trudy i guzy dla podwładnych; i ledwie patrzyli *primates* na trudy szlacheckie, kręcąc nosem przy spotkaniu wczorajszego brata szlachcica, i odwracając głowy, by im nie przyszło się witać z jakimś tam szlachetką, którego do salonów przypuścić przecież niepodobna.

X.

Owóż w historycznej sali pana marszałka, postrzegamy jakby ton fałszywy, tę samą niedecyzję w spojrzeniu zgromadzonych, tak mocno brzydzącą wyraz powszechny serdeczny i szlachetny. Spojrzenia zgromadzonych biegają po sali z niepewnością. Zdaje się, że się wahają te spojrzenia, na kim mają ostatecznie spocząć. I wpatrzywszy się uważniej, spojrzenia te głównie w trzy zwracają się kierunki.

Każdy z tych kierunków był zwrócony na jednego z trzech członków zgromadzenia, którzy zdawali się być głównymi przywódzcami tej narady obywatelskiej. Byli to: marszałek, jego syn i nasz stary rotmistrz. Bo jak to się dzieje zwykle przy podobnych naradach, utworzyły się trzy stronnictwa niejako. Było to jeszcze bardzo szczęśliwie, bo ileż to zjazdów odbywało się nieraz u nas, na których wedle u nas smutnego obyczaju, a za przysłowiem idąc: co głowa to rozum, tyle było stronnictw ile głów zgromadzonych. To też choć się zgromadzeni mięszali razem chwilami, potworzyły się już gronka. Najliczniejsze kupiło się w koło marszałka, ku niemu zwracając oczy swoje. Przeważali między nimi rodowi i majętni, a mianowicie wszyscy byli marszałkowie, prezesowie, deputaci i główniejsi pretendenci do takichże urzędów obywatelskich.

Mniejszego nieco grona ogniskiem był kamerjunkier były. Widać w nim było młodsze pokolenie obywatelskie. W tem gronie przeważać się zdawał prawdziwy czy tylko chwilowy zapał, objawiający się żywszemi ruchami i gęstszemi minami. I przewodnik tego grona odznaczał się i głosem donośniejszym, i stanowczością, i dosadniejszą wymową, podczas gdy marszałek przeważał widoczną pretensją do powagi i starał się zachować powierzchowność głębokiego statysty i zgrabnego dyplomaty. Mniejsze grono patrzyło trochę z góry na panów senatorów, jak ich drwiąco i zcicha w niem nazywano.

Rotmistrza otoczenie było najszczuplejsze, bo się po prostu ograniczało na Stanisława, dwóch kapucynów, i jednego szlachcica szaraczka, pana Zahajpolskiego, z odległej o milę Zahajpolszczyzny, w której cudem jakimś zachowało się aż dwunastu współdziedziców. Pan Bartłomiej okrzyczany był za oryginała, bo choć miał w zaścianku dwadzieścia aż dusz, jak moskiewskim obyczajem nazywano biednych wieśniaków, żył z temi duszami, do pańszczyzny przeznaczonemi, po bratersku, prawym był człowiekiem, chociaż chodził w siwej świtce, na czamarkę nieco przystrojonej, a był ogromnym werydykiem, i rznął prawdę od ucha i braciom szlachcicom, i jaśnie wielmożnym, a nawet i jaśnie oświeconym. Rok jakoś temu, gdy jeden z jaśnie oświeconych forytował się na guberskiego marszałka, i z tego powodu odbywał się obywatelski zjazd przedwyborczy, nagle pomiędzy kocze, karety, faetony i żokiejskie cugi paniczów, do złoconej młodzieży należących, wtłoczył się pana Bartłomieja wóz drabiniasty, dwoma chłopskiemi tęgiemi podjezdkami zaprzężony, a na nim pojawił się pan Bartłomiej w swej siwej świtce, w chłopskich butach, i w baraniej czapce na zawiasy, i wszedł sobie bez żenady do pańskich salonów.

— Dziegciem śmierdzi... — mruczeli dość głośno panicze i panie.

— Tu trupem śmierdzi!... — powiedział pan Bartłomiej kręcąc nosem. — Panie bratku jakieś pachnidła, jakby od zabalsamowanego nieboszczyka.

A trudno go było wyrzucić, bo pan Bartłomiej nie dał sobie w kaszę napluć; był nieco gorączka, a szablą tak wywijał i tak strzelał, że przed niedawnemi laty, gdy grafiątko jedno oberwało przez twarz od ucha aż do gęby, a drugi magnacik ukraiński, choć rotmistrz od gwardyjskich huzarów, dostał kulą w udo, poskromnieli jakoś salonowce. A koniec końców, był zawsze z rodu Zahajpolskich, spokrewnionego z pierwszemi kraju rodzinami, rodu, o którym herbarze a mianowicie dzieje ojczyste daleko więcej piszą, niżeli o wielu podobnych paniczach ukraińskich, paryską polituRą świecących i paryskiemi odorami cuchnących. Więc też pan Bartłomiej powtarzał sobie wszędzie głośno, bez ogródki i bezkarnie:

— Czy tak, czy siak, panie bratku, prawda przedewszystkiem! Czy jaśnie oświecona czy prosta baba rodzi, to się zawsze tylko nagie urodzi dziecko. A wtenczas ani Bóg nasz, ani nasza ojczyzna nie patrzy na to panie bratku, czy to będzie chodzić we fraku i krynolinie, czy w kożuchu i jupce, ale na to, czy będzie z niego dobry chrześcijanin i sprawiedliwy syn matki ojczyzny. Czy tak, czy siak, panie bratku, kto nie jest ani jednym ani drugim to szelma panie bratku, choćby miał wszystkie klucze szambelańskie na tyle, a wszystkie ordery na przedzie!...

Pan Bartłomiej był w powiecie przez wszystkich ludzi poczciwych szanowany, a w Zahajpolszczyznie u współdziedziców po Panu i Pannie Przenajświętszej był pierwszą figurą. Moskiewskie urzędy prześladowały go wszystkiemi sposobami. Ale on karku nie zgiął, chłopskim swym rozumem dzielnie się wywijał, i gdy raz na jarmarku w miasteczku wpadł w pasję, powiedział wręcz panu sprawnikowi Flidersowi:

— Czy tak, czy siak!... Sobaka bresze, dzika bestja krew chlepce a Moskal łże, kradnie i rozbija, bo natury nie przemienisz, panie bratku!...

Paweł Onufryjewicz chciał to rozmazać i awanturę zrobić, ale tym razem, jak i wielu innemi razami, skończyło się na tem, że wcale karmny wieprz przeniósł się z karmnika pana Bartłomieja do Flidersowej spiżarni.

Tak tedy stały stronnictwa w sali pałacu marszałkowskiego. Dodać jeszcze należy, że byli w zgromadzeniu i tacy, co to się nigdy zdecydować nie umieją, i lubią pływać między wodami. To też widzimy takich kilku, przechadzających się w głębi sali. Byli to ludzie mniej więcej bez brzucha, ale nie bez ducha, którym smaczne jedzenie i smaczne picie, miękka pościel i preferansik starczą do szczęśliwego życia od kolebki do trumny. *Publicum bonum* stanowią u nich ceny targowe.

— Czy tak czy siak! przyznać potrzeba, panie bratku — mówił im pan Bartłomiej w żywe oczy, — tacy ludzie nieprzymierzając jak bezrogi, którym w błocie najlepiej!...

— Więc tedy — mówił pan marszałek, i wyciągnął ku szlachcie koło niego stojącej ręce.

Był to gest, który śmiało nazwać można dyplomatycznym, bo zarówno mógł być gestem retorycznym jak i pożegnawczym.

— Więc tedy, zdaje mi się, zostanie przytem, że będziemy wyczekiwali. Wyczekiwanie zdarzeń, a potem korzystanie ze zdarzeń, to najwyższy rozum stanu.

Szlachta, otaczająca mówcę, przyjęła te słowa z zadowoleniem, które się uśmiechem błogim na twarzach objawiło, choć może nie bez zadziwienia. Ni ztąd ni zowąd wedle zapewnienia pana marszałka, przyszli do rozumu stanu.

— Jesteśmy wszyscy Polakami! — mówił dalej marszałek. — Kochamy ojczyznę! tak, kochamy ojczyznę! — powtórzył i uśmiechnął się, co mu się prawie przy każdem kłamstwie zdarzało...

— Tak jest, kochamy ojczyznę! — zakończyła szlachta poczciwa, słowem tem uchwycona za serce.

— Wątpić niepodobna, że czas ważny nadchodzi. Wiadomości z Warszawy są wszakże tego rodzaju, że nie należy występować z żadnym krokiem stanowczym. Wszelki wybuch byłby zgubą naszą, i dla tego jest nie na czasie, ani też w duchu dzisiejszego ruchu, który trzeba pojąć należycie. Ruch naszego narodu powinien być ruchem demonstrancyjnym przed Europą!... tak moi panowie, przed Europą!...

Marszałek dumnie wypiął się naprzód, a szlachcie Europa djable zaimponowała.

— A nakoniec w każdym razie kierunek całej sprawy jak na teraz, tak i na później, przy sobie pozostawiamy!

Skończył marszałek i odsapnął. Ci co go otaczali, patrzyli na niego z uszanowaniem, i już się brali do pożegnań, radzi że się raz pozbędą nudnej narady i cienkiej herbaty.

— Przykro mi! — zawołał były kamerjunkier, głosem więcej piskliwym jak donośnym, i wybiegł z kółka swego naprzód, a twarz, oczy i ruchy wszystkie nabrały coś niby gorączkowego, co mogło zapał znaczyć.

Przechód z zwykłego salonowo-żurnalowego układu do tej popędliwości, był dziwnie nagły.

— Bardzo mi przykro że się nie we wszystkiem mogę zgodzić z szanownym mówcą, poprzednikiem moim.

— Tam do kata! panie bratku! choć z ojcem! kamerjunkier z szambelanem! to będzie coś nowego! — mruknął półgłosem pan Bartłomiej.

— Godzę się zupełnie na to, że kierunek całej sprawy przy nas zostanie, tak przy nas!...

I dla silniejszego słów znaczenia uderzył się silnie w piersi urękawiczkowaną ręką.

— My tu w tej części drogiej ojczyzny naszej, ukochanej Polski, wiemy najlepiej jak, kiedy i co!... nieprawdaż?...

— Tak panie Arturze! — zawołali z szczerym zapałem najgoretsi — ty nam będziesz przewodniczył.

— Ale się godzić nie mogę, że znaczeniem ducha dzisiejszej chwili, jak je nakreślił szanowny mój poprzednik. Demonstracje już niedługo się przeżyją, czas czynów nadchodzi! Tak panowie, czas czynów! i my potrafim być na wysokości tego czasu! Co tam marne demonstracje ulicznych występów! nic nie nadadzą! Niedługo przyjdą na porządek dzienny inne demonstracje przed Europą! któremi pokażemy Europie, czem są Polacy i ich prawa niezadawnione. Ja panowie goręcej sprawę naszą rozumiem! sprawę świętą, sprawę odwetu strasznych krzywd!...

— To mi zapał!... Jest w nim serce!... My z tobą Arturze! — odzywały się głosy...

— I dlatego! — mówił dalej rozogniony Artur, rękami rozrzucając, i na wszystkie wiatry rozpuszczając swoje dosyć długie włosy, — i dla tego moje zdanie jest, że nietylko z samą Warszawą porozumiewać się należy, ale trzeba dalej sięgnąć i wejść w stosunki z rozgłośnymi przewodnikami naszej sprawy za granicą. Jakoż mogę panom oświadczyć z przyjemnością, że poczyniłem już ku temu potrzebne kroki.

Tu zgromadzeni poskupiali głowy, i szmerem szeptanym przeleciało nazwisko Mierosławskiego, a niektórzy zwrócili na Artura pytające spojrzenie.

Artur nic nie odpowiedział, jeno nieznacznie jeżeli nie dwuznacznie kiwnął głową.

— My siebie pewni! chwila znajdzie nas gotowych! — skończył były kamerjunkier, i spocone obtarł czoło. A otaczający uścisnęli go z zapałem.

— Czy tak, czy siak panie bratku! — wybąknął niepoprawiony rubacha — trzeba wyznać, że trudno więcej i mniej powiedzieć! Dymu jest dosyć, to musi być i ogień!...

Dodajmy mimochodem, że gdy syn mówił, ojciec poprawiał kołnierzyki.

*

Przez czas obydwu przemówień widocznie gromadziły się chmury na czole i twarzy starego rotmistrza. Cierpliwość nie była jego cnotą. To też choć po zamknięciu przemowy pana Artura szmer wielki rozszedł się po sali, i już się wszyscy zbierali do wychodu, rotmistrz poskubawszy wąsy siwe zawołał głosem potężnym jeszcze:

— Chwilę cierpliwości, panie i dobrodzieju!... (C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Il rè galant omo.

W Turynie dzień był pogodny, tłumy ciągnęły na plac *del Castello*, a w tym tłumie na ulicy Dora Grossa, największej w dawnej stolicy Sardyńskiej, znalazłem się i ja, idąc bez myśli i celu. Zbliżywszy się do sklepu z cygarami, który podówczas należał do prześlicznych dwóch sióstr, z których starsza mogła mieć najwięcej lat ośmnaście, a młodsza szesnaście, nie mogłem oprzeć się pokusie, aby nie zaopatrzyć się w kilka *kawurów*. Są to cygara bardzo dobre i bardzo tanie, a że je zaprowadził sławny Cavour i sam je palił, przeto ochrzczono je według jego nazwiska.

W chwili gdym wybierał najsuchsze i najciemniejsze, przed sklepem stanął skromny ale gustowny powozik parą karych koni zaprzężony, w którym siedział tylko jeden mężczyzna. Obecni w sklepie w głąb się cofnęli zdejmując kapelusze, a piękna właścicielka biorąc pudełko z cygarami, szepnęła z uśmiechem do młodszej siostry:

— *Il rè!*

Rzeczywiście był to król włoski, Wiktor Emanuel.

Dziewczyna chciała wynieść cygara do powozu, ale król skinąwszy ręką rzekł: — *Non s'incommodi!* (proszę się nie trudzić) i sam wysiadł.

Był to mężczyzna w sile wieku, wzrostu średniego i atletycznej budowy ciała. Czarny wąs sumiasty i dość długa hiszpanka, nadawały twarzy wyrazu marsowego, a szerokie barki z dość dużą głową na krótkiej szyi osadzoną, robiły go podobnym do żubra z puszczy białowiejskiej. Na pierwszy rzut oka Wiktor Emanuel może się wydać wcale brzydkim mężczyzną; ale kto ma sposobność spojrzeć w jego piękne i łagodne oczy, ten zapomni o surowej powierzchowności, ponieważ przeczuje w nim człowieka rzadkiej dobroci serca i prawości charakteru. Kobiety mogłyby o tem dużo powiedzieć!... Przyznają to jednak i mężczyzni, i dla tego cały naród włoski nazywa go królem zacnym i dzielnym — *Rè galantuomo*. W jednem tem wyrażeniu, zapożyczonem u Anglików, które na język polski nie da się przetłumaczyć, mieści się cała treść charakteru Wiktora Emanuela.

Król miał na sobie czarny surdut na przodzie zamknięty, takiegoż koloru pantalony, na głowie czarny wysoki kapelusz, a w ręku trzymał olbrzymi bukiet z żywych kwiatów. Wszedłszy do sklepu i widząc że wszyscy stoją z odkrytemi głowami, zdjął kapelusz, a wybrawszy sobie sam kilka *kawurów*, wyjął z tylnej kieszeni surduta jedwabną sakiewkę, zapłacił, schował wydaną resztę, a przyjąwszy z rąk pięknej gosposi bukiecik świeżych fijołków, wetknął go między kamelje swego bukietu, i skłoniwszy się z uśmiechem, wyszedł.

Obecni Turyńczycy byli zentuzjazmowani tem demokratycznem zachowaniem się swego monarchy, a gdyśmy wychodzili, powtarzali z prawdziwem zadowoleniem:

— *Per Christo! E un vero galantuomo!*

Innego atoli zdania był jakiś Neapolitańczyk, widoczny zwolennik Burbonów zdetronizowanych, który znalazł się w naszem gronie. Zaledwie ujrzeliśmy się na ulicy, jakby przeczuwając we mnie cudzoziemca, przed którym bezpieczniej mógł się zwierzyć, wziął mnie poufale pod ramię, co Włochowi zdarza się nadzwyczaj rzadko, i szepnął pół głosem:

— Wielka sztuka, że tu przyjeżdża! Czemu on gdzie indziej sam cygarów nie kupuje!...

— Jakto, więc król robi wyjątek na korzyść tego magazynu?

— Spodziewam się! Dziewczęta piękne, więc go tu ciągnie. Ani byś pan dał wiarę, jaki z niego amator!... W każdem mieście ma przynajmniej jednę... A kobiety szaleją za nim! *Per sangue di San Gennaro!* szalałyby i za mną, gdybym był na jego miejscu... Mówią że ta *bellina*, która mu bukiecik fijołków podała, otrzymała raz od niego karteczkę na 2.000 lirów, a że kwota była cyframi wypisana, więc sprytna dziewczyna dodała jedno zero, i z prywatnej kasy królewskiej wzięła 20.000, o czem król pewnie nie wie.

— Ależ mój panie, czy godzi się....

— Ja nie obmawiam, *capisci...* ale w mieście tak mówią... Przed miesiącem dziewczęta te były jeszcze bardzo biedne, a dziś mają najpiękniejszy sklep w Turynie.

— Zechciej mnie pan uwolnić od swego towarzystwa, bo to mnie nie obchodzi!

Neapolitańczyk uznał za stosowne nasunąć kapelusz na oczy i odejść w ulicę poboczną.

Jaka szkoda, że z królami nie można żyć tak *sans façon*, jak z signorem Pietro, lub jego bratem, walecznym majorem armji włoskiej. Gdyby nie różnica pozycji i etykieta dworska, *il Rè galantuomo* byłby mi pewnie powiedział, czy podejrzliwy Neapolitańczyk miał rację, i czy prawdziwemi są owe liczne anegdotki, które o nim krążą po całej Europie. Gdy jednak z monarchami, chociażby nawet tak demokratycznymi jak Wiktor Emanuel, poufała znajomość nie jest rzeczą łatwą — i gdy w opowiadanych facecjach może być bardzo wiele przesady, więc poprzestanę na powtórzeniu takich tylko szczegółów, których prawdziwość może być należycie stwierdzoną.

* * *

Wiktor Emanuel nie jest figurantem na tronie, królem, który ministrom pozwala robić, co im się podoba, byle za to sam miał spokój; Wiktor Emanuel jest politykiem bystrym i konsekwentnym, bez którego w kraju nic się nie dzieje. Historja z czasem wyświeci, jak ważną rolę odegrał on w dziele zjednoczenia Włoch. Gdy Józefowi Mazziniemu, dla jego skrajnych przekonań, pobyt we Włoszech był wzbroniony, Wiktor Emanuel, ilekroć okazywała się tego potrzeba, sprowadzał go tajnie do siebie, aby w swoim własnym apartamencie zasięgnąć rady człowieka, który mimo zbyt czerwonego radykalizmu i wielu wad osobistych, był największym agitatorem i jednym z pierwszych mężów stanu XIX wieku.

Gdy Józef Garibaldi był w otwartej wojnie z rządem włoskim, Wiktor Emanuel utrzymywał z nim zawsze przyjazne stosunki, wiedząc, że ramię pustelnika z Kaprery może przydać się na przypadek wojny, a jego związki z przywódzcami skrajnej opozycji, dadzą się wyzyskać dla dobra państwa podczas pokoju. To też Garibaldi długo piorunował na rozmaite gabinety, ale o królu nigdy przykrego słowa nie powiedział; gdy zaś w r. 1866 Wiktor Emanuel posłał doń swego adjutanta, stary wojownik mimo całej niechęci do Lamarmory i Cialdiniego, którzy podówczas stali na czele rządu i armji, opuścił natychmiast wyspę, aby z garstką ochotników rzucić się w góry. Najbliżsi przyjaciele Garibaldego wątpili wtedy, ażali zechce wesprzeć rząd, który pod Aspromonte zamykając mu drogę do Rzymu, o mało go nie zabił; Garibaldi poszedł jednak, będąc głęboko przekonanym, że naród zjednoczony pod berłem Wiktora Emanuela musi być szczęśliwym.

Gdy Kurja rzymska widząc jak na półwyspie wywracają się trony jeden po drugim, zaniepokojona o własną egzystencję, przez usta papieża rzuciła na Wiktora Emanuela i całą jego rodzinę wielką klątwę, myśląc że tym czynem zabobonny naród włoski zrewoltuje przeciw niemu—król pomny że Chrystus nie dążył do utworzenia ziemskiej monarchji, i że dla tego papieżom królestw, najemnego żołdactwa, więzień i gilotyn wcale nie potrzeba, przyjął ekskomunikę obojętnie, chociaż w duszy nie przestał być ani chrześcijaninem, ani nawet katolikiem. Zdrowy zmysł polityczny nakazywał mu iść na przód — i mimo przykrości, jakich osobiście doznawał, zdążył do celu, bo odebrał Rzym papieżom. Co więcej — Wiktor Emanuel mimo gorącego przywiązania do hrabiny M. z którą po długoletnich stosunkach przed kilku laty morganatycznem połączył się małżeństwem, nie uczynił nic takiego, coby bodaj pozornie zapowiadało reakcję. Każdy inny człowiek, z mniejszym jak on charakterem i z myślą polityczną mniej wybitną, byłby może uległ namowom kobiety, którą OO. Jezuici oddawna opanowali. Starali się oni o to usilnie, aby przez hrabinę działać na króla. Pierwszą połowę celu osiągnęli najzupełniej — druga atoli zawiodła, gdyż Wiktor Emanuel nie uległ nawet kobiecie, co w życiu największych mężów stanu jest czasem rzeczą najtrudniejszą. Iluż z nich poszło na manowce tylko przez kobiety!...

Z tego com powiedział, łatwo się przekonać, że Wiktor Emanuel jest duszą polityki włoskiej i że on kieruje z ukrycia nawą państwa. Cavour był jego mistrzem, a panowie Rattazzi, Ricasoli, Minghetti, Lamarmora, Peruzzi i inni, którzy kolejno pojawiali się u steru rządu, byli tylko mniej lub więcej zdolnymi wykonawcami jego idei.

Może kto powie, że przypuszczenie nasze dla tego okazuje się błędnem, albowiem w naturze człowieka leży pragnienie, by dobre, a przedewszystkiem wielkie jego czyny były całemu światu wiadome. Jeźliby Wiktor Emanuel był sam sternikiem polityki włoskiej, wśród okoliczności tak trudnych, to bezwątpienia byłby się postarał, aby cały świat o tem wiedział... Odpowiemy na to, że właśnie w tem na pozór biernem zachowaniu się, w tem cofaniu swojej osoby

na drugi plan, a wysuwaniu ministrów na pierwszy, widzimy całą genjalności polityki Wiktora Emanuela. Dzięki tej taktyce, we Włoszech na króla nikt się nie skarży, a ilekroć pojawi się jakie złe, budzące ogólną niechęć, naród przypisuje je zawsze temu lub owemu ministrowi, nigdy zaś monarsze. Król niewidzialny na arenie politycznej, a znany z dobrego serca i szlachetnego charakteru, nie przestaje być dla Włochów *Rè galantumo*.

Przytoczę jeden przykład, którego byłem świadkiem naocznym.

Względy polityczne wymagały, aby stolica została przeniesioną z Turynu do Florencji. Gdy mieszkańcy Turynu we wrześniu r. 1864 dowiedzieli się o tem fatalnem dla nich postanowieniu, mogącem ich zrujnować, niezliczone tłumy zaczęły cisnąć się na plac *del Castello*, z oznakami jawnej nieprzyjaźni. Wtedy wystąpiło wojsko, dało ognia i kilkadziesiąt ofiar padło na ziemię. Każdy zrozumie, że bez zezwolenia króla nie mógł być wydanym rozkaz strzelania — ale ponieważ Wiktor Emanuel udaje, jakoby polityka wcale go nie obchodziła, więc nienawiść za ten czyn zwróciła się nie na niego, lecz przeciw ministrom. Ministrowie byli tedy kozłami ofiarnemi.

Wielkie dzieła w życiu narodów przeprowadza zawsze jeden człowiek.

Kilku, czasem nawet tysiące przygotowują rolę pod zasiew czynu, ale tym, który w stanowczej chwili sprawę rozwiązuje, jest zawsze jeden. Tym jednym był z początku Cavour, a po nim został Wiktor Emanuel.

Gdyby jego nie było, polityka włoska nie byłaby tak jednolitą i konsekwentną. Każdy z przewódców gabinetu, a było ich tylu, byłby się starał zrobić coś na własną rękę, z czego nakoniec mógł powstać chaos. Tymczasem od r. 1852 do 1870 widzimy jednę myśl, jednę akcję. Był więc jeden człowiek, który w ręku trzymał nić działania.

Postępowanie Wiktora Emanuela na tem większe zasługuje uwielbienie, ile że tylko w ten sposób mógł Włochy zjednoczyć. Ilekroć nie podobali się ministrowie, można ich było odmienić — gdy natomiast król raz znienawidzony byłby utracił wszelką siłę. Nie było drugiego monarchy na półwyspie, któryby go zastąpił — a tu trzeba było jednego, do którego by się wszyscy garnęli.

Wiktorowi Emanuelowi wygodnie w tej roli. Nikt się nań nie skarży, wszyscy go kochają, a gdyby jutro skutkiem jakichś nadzwyczajnych wypadków, rozpadła się jedność włoska, winnym znowu byłby minister X. lub Y. ale nie król. Wiktor Emanuel pozostanie zawsze *Rè galantuomo*.

Stokroć lepiej byłby wyszedł Napoleon III, gdyby zapatrując się na swego sąsiada i przyjaciela, stał był na drugim planie, i nie wmawiał tak uporczywie w świat cały, że on sam wszystko robi. Odpowiedzialność za Sedan byłaby wtedy spadła nie na niego, ale na takich bohaterów jak Rouher, Grammont, Pallicao, Fleury, Bazaine i inni — i kto wie, czy Napoleon III nie zasiadał by był do dnia dzisiejszego na tronie Francuzów. Narody są łatwowierne, a pozory prędzej trafiają do ich przekonania, aniżeli fakta.

* * *

Wiktor Emanuel jest prawdziwym dżentlmenem, Jadąc w powozie kłania się wszystkim damom, a gdy w r. 1865 kraj był w kłopotach finansowych, odstąpił ze swojej listy cywilnej 4 miljony na cele narodowe. Włosi, którzy mimo całego doń przywiązania nie zapominają także o marnej mamonie, postarali się zaraz po zjednoczeniu Italji, aby lista cywilna była na przyzwoite cele obracaną. Dawni królowie i książęta uciekając z półwyspu, zostawili swoje pałace, których razem będzie najmniej 30. Z porządku rzeczy, miejscowe rady gminne powinne były objąć te gmachy i starać się o ich utrzymanie. Włosi atoli poszedłszy po rozum do głowy, wszystkie darowali królowi, wygrywając tym sposobem w dwójnasób. Najprzód zaskarbili sobie łaskę króla, bo trzydzieści pałaców są podarunkiem prawdziwie monarszym, a powtóre zaoszczędzili przez to do miljona lirów, bo utrzymanie tych gmachów byłoby rocznie najmniej tyle kosztowało. Poczciwy Wiktor Emanuel przyjął dar wdzięcznem sercem, a chociaż kilkanaście tych rezydencyj na nic mu się nie przydały, bo w nich nawet nie był, utrzymuje jednak wszystkie z własnej szkatuły. Skutek zaś jest ten, że w kasie jego są nieraz pustki przerażające, tem większe, że majątek jego prywatny wcale nie wielki. Ale Wiktor Emanuel nie odsuwa się od żadnej ofiary — on jest *Rè galantuomo*.

Każdy dżentlmen powinien w sercu nosić miłość i poczucie piękna — a kto ma te dwa przymioty, czy może być obojętnym na wdzięki kobiet i zalety ich duszy? To też król włoski jako *rè galantuomo* przepada za tą „słabą“ połową rodzaju ludzkiego, uważając wszystkie kobiety równo, i oddając pierwszeństwo tylko tym, które na nie zasługują. Nie pyta on wcale, czy *bellina* jest księżniczką czy wieśniaczką, byle w rzeczy samej była piękną, jeżeli być może dowcipną, a przedewszystkiem miłą, bo to ponoś więcej znaczy jak piękno posągowe, które może natchnąć uwielbieniem, ale rzadko miłością.

Król, namiętny myśliwy, mieszkając dawniej w Turynie, nieraz inkognito, bez żadnego adjutanta, w zwyczajnym ubiorze strzeleckim wychodził na kompanję, aby swobodnie na ptactwo zapolować. Raz spotkał jakieś dziewczę młode i miłe. Bez trudności zawiązała się rozmowa, a gdy nazajutrz strzelec powrócił, dziewczyna nie domyślając się w nim ukoronowanego monarchy, przywitała go jak dobrego znajomego. Dość długo się kochali i czas wesoło im upływał, dopóki wieśniak, który od roku starał się o rękę dziewczęcia, nie dowiedział się o schadzkach potajemnych. Nie wahając się ani sekundy, wyostrzył nóż i nazajutrz zaczaił się w miejscu, gdzie co dzień widywano nieznajomego strzelca. Gdy według zwyczaju król przyszedł — zazdrośny Włoch rzucił się nań z tyłu. Ale Wiktor Emanuel ma słuch wytrawnego myśliwca! Przy pierwszym szeleście obrócił się, a zanim napastnik miał czas ugodzić go w pierś otwartą, wyrwał mu nóż i jednem uderzeniem potężnej prawicy powalił go na ziemię. Skrytobójca podniósłszy głowę, poznał w strzelcu monarchę... widywał go on często w Turynie. Można sobie wyobrazić, jaka była jego konfuzja, a jaki strach! Ale Wiktor Emanuel wnet go pocieszył, gdyż rzucając kiesę złota, rzekł:

— Niech to będzie ostatni raz, bo pójdziesz na galery!

Zazdrośny Włoch był od tego dnia najgorętszym wielbicielem swego króla.

Czy dżentlmen prawdziwy odmawia kiedy pomocy ludziom znajdującym się w przykrem położeniu albo w niebezpieczeństwie?

W jesieni r. 1865, Wiktor Emanuel polował w licznem towarzystwie, w lasach San Rossore. Oddaliwszy się od swego orszaku, ujrzał na drożynie wiodącej po pod las dwukołowy wózek wieśniaczy, zwany u nas „biedą“ na którym siedziała piętnastoletnia dziewczyna. Ojciec stał obok muła, zachęcając go to nawoływaniem, to batogiem do wyciągnięcia wózka, który po same osie ugrzązł w błocie. Postrzegłszy nadchodzącego strzelca, Toskańczyk zawołał z daleka, nie uchylając nawet kapelusza:

— *Amiko*! pomóż mi wyciągnęć tę biedę, bo sam nie dam sobie rady!

Wezwany nic nie odpowiedział, a zbliżywszy się do wózka, podsadził go z tyłu potężnemi ramiony i w mgnieniu oka z błota wyciągnął. Zdumiał się wieśniak nad taką siłą, zdumiała dziewczyna nad taką grzecznością, a nieznajomy strzelec za całą nagrodę pogłaskał ją po twarzyczce, mówiąc:

— *Carina!*

Dżentlmen nie lubi podeszłych kobiet, umizgających się do młodych chłopców. Zdaniem jego każdy wiek ma swoje prawa, a więc tylko równe z równem łączyć się powinno.

Nad Arnem we Florencji wznosi się pałac, na którego fasadzie zdumiony przechodzień czyta: *Deus cum fortibus!* Snać w tym gmachu mieszka jakiś magnat dumny, kiedy dewiza jego utrzymuje, że Bóg wspiera tylko możnych. W rzeczy samej mieszka tu księżna X... kuzynka panującego dziś króla duńskiego. Chociaż jej metryki nikt nie widział, przed piętnastu jednak laty cały świat utrzymywał, że była ona niesłychanie starą i brzydką. Ale serce nigdy się nie starzeje — przynajmniej u kobiet! Nic więc dziwnego, że księżna postanowiła wyjść za mąż, a gdy przez dłuższy czas nie nawinął się nikt stosowny, poślubiła własnego strzelca, chłopca młodego i przystojnego. Po miodowych miesiącach przyszła rozwaga—i ekksiężna zaczęła tęsknić za tytułem utraconym. Właśnie gdy żal rozsiadł się w najlepsze w jej duszy kochającej, książę panujący umknął, a miejsce jego zajął u steru rządów baron Ricasoli, który coprędzej postanowił połączyć Toskanję z królestwem Sardyńskiem. Ekksiężna przeczuwając, że z przewrotu tak powszechnego można i dla siebie jaką korzyść wyciągnąć, darowała miljon na cele narodowe. Gdy Wiktor Emanuel objąwszy Toskanję przyjechał do Florencji, przedstawiali mu się kolejno wszyscy, którzy czemkolwiek przyczynili się do zbudowania jedności włoskiej. Rzecz zrozumiała, że między niemi znajdowała się także dawna księżna X... a dziś, przyjąwszy pospolite nazwisko męża, zwyczajna pani Y... która przyszła w towarzystwie swojego małżonka.

— Słyszałem o twojej ofierze pani, — przemówił Wiktor Emanuel — czemże za to mógłbym się wywdzięczyć?

— *Sire!* — odrzekła zapytana — proszę o tytuł dla mojego męża.

Król rzuciwszy wzrokiem na czułą parę, odpowiedział bez namysłu:

— Mianuję go hrabią Almaforte! *)

Gdy nowa hrabina salę opuszczała, Wiktor Emanuel zwracając się do ministrów, rzekł:

---

*) *Alma—forte* znaczy „dusza — silna.“

— W istocie trzeba niesłychanie silnej duszy aby się ożenić z takim koczkodanem!

Czy prawdziwy dżentlmen może być tchórzem, i czy fanfaronuje on kiedy?

Otóż Wiktor Emanuel jest walecznym, czasem nawet nadto walecznym, prawie zuchwałym, czego złożył niejednokrotnie dowody. Gdy w r. 1859 sprzymierzone armje walczyły z Austrją pod Palestro, król nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwo, rzucił się odważnie naprzód, i gdyby nie żuawi francuscy, którzy zamykając mu drogę bagnetami, zaklinali go na kolanach, by swego życia nie narażał, byłby może zginął pod gradem kul nieprzyjacielskich. Takim był w każdej bitwie.

Jak strój jego zawsze skromny, tak i życie skromne. O hucznych zabawach na jego dworze nigdy nie słyszano, a on sam tak nie lubi ostentacyjnych recepcyj i dyplomatycznych objadów, że ilekroć może, rad się od nich usuwa. A wtedy zastępuje go najczęściej poważny kuzyn, książę Carignano. Przyzwyczajony do wczesnych objadów, je w południe kilka dań skromnych, wypija butelkę ulubionego wina *d' Asti*, a potem siedząc w oknie, wychodzącem na ogród lub dziedziniec, aby nie zbierała się gawiedź ciekawa, pali zwyczajnego *kawura*, i puszczając kłęby dymu przed siebie, słucha relacji prezydenta ministrów. Na takiej siescie ułożył się nie jeden plan wielki!

Miłosierdzie należy także do cnót dżentlmena. Jak Wiktor Emanuel umie być miłosiernym, opowiem to obszerniej. (C. d. n.)

WYCIECZKI
na współczesny Parnas francuski.

Przez

J. S. Chamca.

(*Ciąg dalszy.*)

I.

Aleksander Dumas.

Opatrzność, czuwająca, jak mówią Francuzi, nad losem kochanków i pijaków (*Il y a une providence pour les ivrognes, comme pour les amoureux*) sprawia teraz, iż pan de Nanjac służąc za sekundanta w jednym pojedynku, spotyka się i ścisłą zawiązuje przyjaźń z niejakim Olivier de Jalin (bardzo udatny typ światowca, Paryżanina, na poły sceptyka, na poły entuzjasty) który także jako amant w przeszłości baronowej d'Ange ważną odegrał rolę.

Naiwny mieszkaniec prowincji, przed nowym przyjacielem nie kryje ani stanu swego serca, ani zamiarów przyszłości.

Spytany o tę, z którą dozgonnym ma się połączyć węzłem, wygłasza dobrze znane Oliwierowi nazwisko baronowej Zuzanny d'Ange.

De Jalin osłupiały, odgadłszy z kilku poprzednich wywnętrzeń, jakie postępy poczyniła szalona miłość w sercu naiwnego jego przyjaciela, boi się jednorazowem odkryciem prawdy serce to na zbyt bolesne narazić wstrząśnienia, obiecuje sobie jednak uczynić wszystko, co tylko będzie można, by przeszkodzić projektowanemu związkowi, i podstępnej intrygantki zniweczyć zamiary.

To akt pierwszy. Ekspozycja przedmiotu ścisła i nad nią nic więcej. Ani jednej niepotrzebnej sceny, ani jednego źle przypiętego, akcję przedłużającego ustępu. Charaktery silnie zarysowane, bohaterki, baronowej d'Ange i bohaterów: de Nanjac, i czynnego Oliviera de Jalin. Są one takie, jakiemi je natura stworzyła. W zawodzie dramatycznego pisarza zawiązanie (akt Iszy) i rozwiązanie (akt ostatni) to dwa najtwardsze sęki, o które rozbija się moc miernych talentów. Akt Iszy zbyt zawiły, utrudnia dalszy rozwój intrygi, i naraża na gwałtowne, bezsensowne jej rozcięcie w ostatnich scenach. Kamień więc w nim probierczy zdolności autora. W komedji Dumas'a o której mowa, akt ten najlepiej świadczy o dalszym jej rozkwicie. Akcja zamknięta w granitowem korycie loiki, nie może zagrzęznąć w piasku bezsensu i czczej paplaniny, ale swobodnie i wspaniale musi do końca dopłynąć. Koniec ten do odgadnięcia łatwy, jawi się od razu żelazną koniecznością myśli słuchacza. A! krzykną zwolennicy absurdów melodramatycznych. A to źle! Interes sztuki na tem cierpi! Wiedząc z góry co ma nastąpić, któżby spokojnie a cierpliwie dwóch czy nawet trzech niepotrzebnych słuchać chciał aktów! — Doprawdy? Ktoś co tak sądzi, nie pójdzie więc drugi raz na przedstawienie znanych już arcydzieł? Świadomy końca nie zechce więc i nie potrafi zainteresować się niemi? *Hamlet*, *Makbet*, *Otello*, żadnej mu dwakroć nie sprawią przyjemności? On będzie wolał przyklasnąć bredniom jakiegoś dzikiego melodramatu, dla tego, że mu nagłą w 5. akcie skruchą złoczyńcy, tak miłą dla nerwów jego przysłuży się niespodzianką? Takich amatorów odsyłamy hurtem do *Ambigu comique* na nader wrażliwe wieczory. Pisząc nie dla nich, czas byśmy tracili, tłumacząc się przed nimi z dalszych tego rodzaju poglądów. Ci, którzy smakiem bardziej wykształconym szukają w sztuce nie samej tylko intrygi, lecz i jej prowadzenia, tudzież gry charakterów, ci, wybaczywszy powyższy ustęp zbytniej skrupulatności piszącego, pobłażliwie dalszej użyczą mu uwagi.

W drugim akcie, który nam tłumaczy tytuł całej komedji, wypływamy na pełne morze „Pół-świata.“ De Jalin pragnąc przyjacielowi w sposób jak najmniej drastyczny otworzyć oczy zaślepione szaloną miłością, wprowadza go do jednego z takich wyżej opisanych salonów. Przyjmuje w nim gospodyni, Vicomtesse de Vernières. Przed okiem wieśniaka typowe „Pół-światówek“ i „Pół-światowców“ przesuwają się postacie, a gdy przysłuchawszy się ich rozmowie, i uderzony dwuznacznem niektórych słów znaczeniem, ze zdziwieniem zapytuje swojego cicerona, gdzie jesteśmy? ten mu na to odpowiada tak wyborną definicją rzeczy, iż nie mogąc oprzeć się pokusie, musimy ją tu zacytować w całości:

— „Entrez un jour“ powiada „chez un marchand de comestibles, chez Chevet ou chez Potel et demandez lui ses meilleures peches. Il Vous montrera une corbeille contenant des fruits magnifiques, posés à quelque distance les uns des autres et séparés par des feuilles, afin qu'ils ne puissent se toucher ni se corrompre par le contact; demandez lui le prix, il vous répondra „Trente sous la pièce“ je suppose. Regardez autour de Vous, vous verrez bien certainement dans le voisinage de ce panier un autre rempli de peches toutes pareilles en apparence aux premières, seulement plus serrées les unes contre les autres, ne se laissant pas voir sur tous leurs côtés, et que le marchand ne Vous aura pas offertes... Dites lui: Et combien celles-ci? Il vous répondra: „Quinze sous“. Vous lui demanderez tout naturellement pourquoi ces peches aussi belles, aussi mures aussi, appétissantes coutent moins cher que les autres? Alors il en prendra une au hasard, le plus délicatement possible, entre ses deux doigts, il la retournera, et vous montrera, dessous, un tout petit point noir, qui sera la cause de ce prix inferieur. Eh bien, mon cher, vous êtes ici dans le panier des peches à quinze sous. Les femmes qui vous entourent ont toutes une faute dans leur passé, une tache sur leur nom, et, avec la même origine le même exterieur et les memes prejugés, que les femmes da la société, elle se trouvent ne plus en être, et composent ce que nous appellons le demi-monde, qui vogue comme une ile flottante sur l'océan parisien, et qui appelle, qui recueille, qui admet, tout ce qui tombe, tout ce qui émigre, tout ce qui se sauve de la terre ferme, sans compter les naufragés de rencontre, et qui viennent on ne sait d'ou“.

Tu chciałby wyraźnie dodać: i twoja narzeczona do tych należy—lecz się jeszcze powstrzymuje przed tym ostatecznym ciosem, woląc, by raczej czas, własna przyjaciela loika i wytknięte mu nieznacznie punkta porównania boleśną tę na siebie przyjęły rolę.

Tymczasem baronowa dowiaduje się o działalności de Jalina, która zagraża jej intrygom. Pewnego więc poranku przybiega doń z propozycją zgody.

— Etes vous mon ami?—z ponętnym pyta go uśmiechem.

— Votre ami, oui, mais pas votre complice — odpowiada młodzieniec.

— Wojna zatem między nami?

Wojna, jeśli się Waszej straszliwej podobało potędze!

Temi słowy zamyka się drugi akt komedji.

Dotąd były, że tak powiem, same preludja, zamalowanie tła obrazu kolorem, właściwym charakterowi rzeczy; nakreślenie na niem trzech głównych i pięciu czy sześciu podrzędnych typów. Prawdziwa akcja dopiero w trzecim i czwartym rozwija się akcie, by w piątym do loicznie koniecznego dobiedz rozwiązania. (D. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(*Ciąg dalszy.*)

IV.

Była druga po północy i carowa mocno spała, gdy nagle uczuła, że ktoś ją budzi; otworzywszy oczy, ujrzała przed sobą nieznajomego żołnierza. Nie oddając na razie kartki Daszkowej, Al. Orłów przemówił:

— W. C. Mość nie masz do stracenia ani jednej chwili! Spiesz za mną!—co powiedziawszy, wyszedł.

Zdziwiona Katarzyna zawołała kapitana Iwanowa i z największym pośpiechem narzuciła na siebie taką sukienkę, która nie mogła zwrócić uwagi żołnierzy na warcie. Zaledwo jednak ubrała się, znowu wszedł do niej Al. Orłów, donosząc, że kareta stoi gotowa przy wrotach ogrodowych. Powóz przygotowała ks. Daszkowa o 2 wiorsty w letnim pomieszkaniu na kilka dni przedtem, pod pozorem spacerów po okolicy. Teraz Orłów sprowadził go przez jednego ze swych kolegów.

Carowa dostała się do powozu bez żadnej przeszkody; Al. Orłów usiadł na koźle i wziąwszy sam lejce do rąk, puścił się co koń wyskoczy. Wkrótce jednak konie zmęczywszy się, nie mogły biedz dalej, a nawet dwa padły na drodze. Wszelkie wysiłki popędzania pozostałych spełzły na niczem; noc była ciemna a do Petersburga było jeszcze daleko. Niebezpieczeństwo stawało się z każdą chwilą groźniejszem, gdyż odtąd należało iść pieszo. Zaledwo jednak uszli kilkaset kroków, gdy spotkali na drodze jadącego chłopa. Aleksy Orłow zabrał wóz, posadził na nim carowę i popędził konie; na drugiej wiorście ujrzeli pędzący naprzeciw powóz, co koń wyskoczy. Był to Grzegorz Orłow, który licząc minuty, kiedy carowa może nadjechać, a nie widząc przybywającej, zląkł się i sam po nią popędził. Poznawszy z kim się toczył wóz chłopski, zabrał Katarzynę a powiedziawszy jej, że tylko o nią teraz chodzi, zawrócił powóz i puścił się z powrotem do Petersburga.

Zmęczona i niespokojna carowa, lecz umiejąca znakomicie panować nad wewnętrznem usposobieniem, wjechała z wypogodzonem i świeżem obliczem do stolicy, rano o godzinie 7. d. 28. Czerwca 1762 r. Zaprowadzono ją natychmiast do Izmaiłowskiego pułku, którego trzy kompanje najzupełniej były pozyskane. Sprzysiężeni aż do jej przyjazdu nie wypuszczali ich z koszar, aby przed wybuchem uniknąć wszelkich poszlak. Zaledwo żołnierze usłyszeli o przyjeździe Katarzyny, przeszło trzydziestu rozebranych do połowy, wybiegło na jej spotkanie. Zdziwiona i przerażona tak małą liczbą żołnierzy, carowa przez pewien czas nie mogła słowa wymówić; następnie zmięszanym głosem odezwała się, że obawa zapędziła ją do nich, aby prosić ich o pomoc, albowiem cesarz tej samej nocy miał ją zabić razem z jej synem, nie pozostawał więc inny środek, jak uchodząc przed śmiercią, uciec z Peterhofu. W końcu dodała, że liczy zupełnie na ich przyjazne usposobienie dla siebie, i postanowiła zdać swój los w ich ręce.

Na te słowa wszyscy, co ją otaczali, zadrżeli z oburzenia i poprzysięgli umrzeć za nią. Ich przykład, tudzież pojawienie się obok carowej hetmana Razumowskiego, dowódzcy pułku, sprowadziło więcej żołnierzy, którzy z ciekawości tłumnie obstąpili Katarzynę i w tej chwili uznali ją za swoją samowładną panię. Niezwłocznie przywołano pułkowego popa i pułk został zaprzysiężony, chociaż dawało się słyszeć wiele głosów mówiących o niej jako o rejentce, lecz zostały one pokryte pogróżkami Orłowa i tłumnym wrzaskiem: „Niech żyje imperatorowa!“ Pułki Preobrażeński i Siemionowski poszły w ślady Izmaiłowskiego, a wszyscy komendanci kompanij i oficerowie jakby należeli do zmowy, poprowadzili swoich żołnierzy do przysięgi. Dwaj tylko z Preobrażeńskiego pułku, Czapłow i Puszkin, ośmielili się powstać przeciwko rozkazowi, za co zostali uwięzieni, a Katarzyna kazała im powiedzieć, że obejdzie się bez nich. Podczas gdy hetman Razumowski, ks. Wołkoński, hrabiowie: Brüs, Strogonow, mnóstwo innych jenerałów i ks. Daszkowa pozostali przy Katarzynie, przyjmującej przysięgę od trzech pułków gwardyjskich, Grzegorz Orłow pospieszył sprowadzić pułk artyleryjski; ale chociaż był w nim skarbnikiem i dosyć lubionym przez żołnierzy, ci jednak nie chcieli pójść za nim bez rozkazu jenerała Wilbua. Jenerał ten od pewnego czasu miał łaskę u Katarzyny, lecz pomimo to ona znając jego surową prawość nie śmiała mu zaproponować przystąpienia do spisku, o którym też jenerał do ostatniej chwili nic nie wiedział. Gdy się zjawił u niego jeden z z przyjaciół Orłowa, z rozkazem carowej, aby natychmiast ze swoim pułkiem podążył do Izmaiłowskich koszar, zapytał go zdziwiony:

— Czy cesarz już nie żyje?

Przyjaciel Orłowa powtórzył rozkaz, poczem Wilbua pojechał sam do carowej. Widząc ją otoczoną nieprzeliczonym tłumem, z łatwością domyślił się, co zaszło; lecz powodując się jeszcze skrupułami przysięgi złożonej dla cara i niebezpieczeństwem, na jakie się naraża Katarzyna, które starał się przed nią rozwinąć, wahał się z ostateczną decyzją. Carowa atoli przerwała dumnie, zapytując:

— Nie dla tego wezwałam ciebie tutaj, aby słuchać przestróg, lecz ażebyś sam oświadczył, jakie jest twoje postanowienie?

— Słuchać W. C. Mość! — odpowiedział skonfundowany jenerał i pogalopował po pułk oddając równocześnie arsenał stronnikom Katarzyny.

Tak ogromne zdobycze nie kosztowały Katarzynę nawet dwóch godzin; widziała się teraz otoczoną więcej niżeli dwoma tysiącami żołnierzy i większą częścią mieszkańców Petersburga, którzy machinalnie postępowali za ruchem żołnierzy, prześcigając się w pochwałach dla wojska za ten czyn śmiały.

Hetman Razumowski poradził wtedy Katarzynie, aby pojechała do katedry Kazańskiej, gdzie wszystko już było gotowe na jej przyjęcie; a gdy wyruszyła z miejsca, ogromna świta przyłączyła się do niej. Okna i bramy wszystkich domów były natłoczone mieszkańcami, których wołania zlewały się z okrzykami żołnierzy.

Arcybiskup Nowogrodzki pontyfikalnie przystrojony, z krzyżem w ręku i otoczony mnóstwem mnichów i popów, których długie brody i siwe włosy dodawały powagi całej uroczystości, spotkawszy Katarzynę na progu cerkwi, wręczył jej berło i jabłko, obwołując ją doniosłym głosem: samowładczynią, imperatorową Wszechrossyjską, pod imieniem Katarzyny II. a następcą tronu w. księcia Pawła Piotrowicza. W ślad za obwołaniem, odezwało się z tłumów piorunujące: „Hurra Katarzyna!“

Po skończonej ceremonji carowa wstąpiła do zamku, gdzie dawniej mieszkała Elżbieta. Brama stała otworem przez kilka godzin dla wszystkich, a tak niemal cały Petersburg widział ją tego dnia, przyczem składano przed nią na klęczkach przysięgę wierno-poddańczą.

V.

Tymczasem sprzysiężeni rozsypali się po rozmaitych dzielnicach miasta, przysposabiając je do obrony; na wszystkich skrzyżowaniach ulic poustawiali placówki i działa z zapalonemi lontami oraz wydano rozkaz, nikogo nie wypuszczać z miasta. Ks. Jerzy Holsztyński. wuj cesarza, pokusił się ukazać z kilku wiernymi sobie żołnierzami na ulicy, lecz natychmiast został schwytany i osadzony, najprzód w więzieniu, a następnie carowa kazała go z tamtąd przeprowadzić do pałacowego odwachu; podczas aresztowania został mocno poturbowany przez obecnych tej scenie. Przyjaciele Piotra nie tylko nie stawili najmniejszego oporu spólnikom Katarzyny, lecz żaden z nich nie pomyślał nawet zawiadomić cara o tem, co zaszło w stolicy. Znalazł się tylko jeden cudzoziemiec, nazwiskiem Bressant, stary fryzjer, który zawdzięczał całą swoją fortunę cesarzowi i ten jeden miał odwagę zawiadomić go. W tym celu przebrał on swego sługę po chłopsku, a oddawszy mu kartę, rozkazał nie doręczać jej nikomu prócz cara; zaledwo domniemany chłop miał czas przejść rogatkę, gdy spiskowi zaraz ustawili wartę na moście i przy wyjeździe z Petersburga; człowiek ten nie zastał już Piotra w Oranjenbaumie i zmuszony był udać się do Peterhofu. (C. d. n.)

U BOŻEGO GROBU.

Cisza w świątyni... milczą organy
Czarna zasłona blask kryje dzienny;
Tylko od grobu skalistej ściany,
Kędy spoczywa Cichy i Senny,
Z skrwawionej skroni Pana nad Pany
Spływa jasności potok promienny!

Jasność ta Zbawcy bladego czoła
Ćmi licznych świateł ogień tęczowy,
Co tam stubarwną wstęgą dokoła
Zdobią grobowca strop granitowy —
I na lud spływa, co wśród kościoła
Modli się, korne schylając głowy.

Lud prosty, on tu krzyżem upada,
On tu ze skruchą w piersi się bije,
Bo tą modlitwą duszę spowiada,
Bo wiarą kocha, cierpi i żyje!
Więc duch tych błagań, które tu składa,
Anielskiem skrzydłem w niebiosa bije!

I patrzy w krwawe ran boskich ślady
Okiem serdecznej, wielkiej żałości,
Bo do nich Pan ten niemy i blady
Przemawia ciągle słowy miłości:
„— Przystąpcie do mnie smutne gromady!
Przystąpcie biedni, zgnębieni, prości!“

Panie! toż w każdej życia godzinie,
Biedna wzgardzona ta dziatwa ziemi
Wdzięczną swą duszą ku Tobie płynie,
W której słów Twoich ziarno się plemi!
I przy nich szczęście, przy nich jedynie,
Bo ukochali, więc jesteś z niemi!

W ich serca jeszcze skarbnicy czystej
Klejnot się ojców przechował stary
O, drogi klejnot ziemi ojczystej!
Promienny brylant niezłomnej wiary —
Co świecił pełen chwały wieczystej
Wiodąc do zwycięztw, cnót i ofiary!

Bo nam o Panie! w ciemnościach nocy
Zagasła jasna Twej myśli zorza
I oto kona w bolach niemocy
Duch nasz, zawiedzion w zwątpień bezdroża...
I giniem, nie chcąc wzywać pomocy
Którą udziela Twa litość boża!

Gdy w niebo płynie modlitwa gminu,
Sercem i życiem Tobie niesiona,
Na roli myśli, na roli czynu,
Ciernie wykwitły z naszego łona...
Te ciernie, z których o Boży Synu
Uwita krwawa Twoja korona!

Myśmy Cię stokroć na krzyż przybili!
My naszem życiem Ci urągali,
Zdradą, odstępstwem, czoła schańbili,
Rozumowaniem ubiczowali!
Hardą Cię Zbawco pychą zelżyli,
Och! my nikczemni, nędzni i mali!

I zgasła wiara — płomień weselny
Pochodni w dłoni Polski anioła!
I chłód nicości powiał śmiertelny
Na rozognione zapałem czoła.

A zmartwychwstania ranek niedzielny
Wierzących tylko zbawić nas zdoła!

Lecz gdzie dąb runą ścięty piorunem,
Wieniec gałązek wyrasta świeży.
A na dnie mętnej czary z piołunem
Kosztowna perła ukryta leży;
Dzisiaj przyszłości naszej zwiastunem
Lud ten ubogi w prostej odzieży!

O wejrzyj Panie! niech wiara ludu
Rosą do zwiędłych serc naszych spłynie,
A oczyszczony z prochu i brudu
Duch-orzeł śnieżne skrzydła rozwinie!
I wespół z ludem tym w pośród trudu
Z wolnej Ci Polski wzniesiem świątynię!

W niej padnie krzyżem naród nasz cały,
We łzach dziękczynnych myjąc powieki,
W szacie zbawienia przeczystej, białej,
Ufny w Twej świętej wszechmoc opieki!
I rozgrzmi wielki hymn Twojej chwały,
Hymn nieskończony po wieków wieki!

Marja B.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

(Ciąg dalszy.)

Rozdział VII.

(Nowe projekta. — Most na Dziękczynnej. — Przemiana Wielkiej Terasy w wyspę. — Most zwodzony. — Żniwo. — Potok. — Mostki. — Podwórko. — Gołębnik. — Dwa „onagasy“. — Zaprzęg. — Wycieczka do Przystani Balonowej.)

Tak więc osadnicy wyspy Lincolna odbili napowrót swe mieszkanie, nie potrzebując wchodzić do niego przez dawny kanał odpływowy jeziora, co im oszczędziło niezbędną w takim razie robotę mularską. Szczęściem to ich było zaiste, że właśnie w chwili, gdy się zabierali do tego, gromada małp zdjęta trwogą jakąś, równie nagłą jak niewytłumaczoną, sama rozpoczęła odwrót z Pałacu Granitowego. Czy te zwierzęta przeczuły niebezpieczny atak, który im z innej groził strony? Powód ich ucieczki tym jednym tylko sposobem dałby się wytłumaczyć.

Resztę dnia tego obrócono na przeniesienie zwłok poległych małp do lasu i pogrzebanie ich tamże. Poczem osadnicy nasi przystąpili do usunięcia nieporządku sprawionego przez małpy — mówię: nieporządku, a nie spustoszenia, małpy bowiem poprzewracały wprawdzie wszystko, co było w pokojach, lecz nie połamały ani popsuły niczego. Nab rozpalił znowu ogień na kuchni, a spiżarnia dostarczyła sutego posiłku, któremu wszyscy całą gębą byli radzi.

Nie zapomniano także o Jowie i uraczono go hojnie migdałami sosnowemi i korzonkami, które zjadł z wielkim apetytem. Pencroff zdjął mu więzy z ramion, lecz uznał za stosowne pozostawić mu jeszcze pęta na nogach, aż do nabrania pewności, że się pogodził ze swym losem.

Poczem Cyrus Smith z towarzyszami swoimi, zanim udali się na spoczynek, zasiadłszy do koła stołu, omawiali rozmaite projekta, których uskutecznienie nie cierpiało zwłoki.

Najważniejszym i najpilniejszym z nich było postawienie mostu na Dziękczynnej, w celu połączenia wyspy z Pałacem Granitowym, tudzież utworzenie ogrodzenia na barany skalne i inne stworzenia wełnonośne, które miano ująć w niewolę.

Oba te przedsięwzięcia, jak widzimy, zmierzały do załatwienia najważniejszej podtenczas kwestji odzieży. W istocie, most miał ułatwić transport powłoki balonowej przeznaczonej na bieliznę, a obora miała dostarczyć wełny na sporządzenie sukień zimowych.

Co do obory Cyrus Smith miał zamiar założyć ją u samego źródła Czerwonego Potoku, gdzie przeżuwające te stworzenia znaleść mogły świeżą i bujną paszę. Droga pomiędzy Wielką Terasą a owem źródłem była już w części utorowaną, a za pomocą wózka doskonalszego niż pierwszy, dowóz byłby łatwiejszym, zwłaszcza gdyby się udało przyswoić sobie w tym celu jakie bydlę pociągowe.

Podczas gdy jednak nic nie stało na przeszkodzie temu, by obora była nieco oddaloną od Pałacu Granitowego, inaczej miała się rzecz z podwórkiem, na które Nab zwrócił uwagę swych towarzyszy.

Wypadało w samej rzeczy, aby drób znajdował się pod ręką kuchmistrza, a żadne miejsce nie wydawało się odpowiedniejszem na założenie rzeczonego podwórka, jak owa część brzegów jeziora, przytykająca do dawnego kanału odpływowego. Tu ptactwo wodne mogło wieść się równie pomyślnie jak każde inne, a owa para tinamusów schwytanych podczas ostatniej wycieczki, miała służyć za zawiązek i pierwszą próbę swojskiego ptactwa.

Nazajutrz — 3go listopada — rozpoczęto szereg prac nowych około budowy mostu, i wszystkie ręce użyte zostały w tej ważnej potrzebie. Piły, siekiery, dłuta i młoty naładowano na plecy i osadnicy nasi, przemienieni w cieślów, spuścili się na dół ku piaszczystemu wybrzeżu.

Tu Pencroff zrobił następującą uwagę:

— A jeśliby, podczas naszej niebytności, przyszła panu Jowowi fantazja wciągnąć do góry drabinkę, którą tak uprzejmie spuścił nam wczoraj na dół?

— Przymocujmy ją za dolny koniec odparł Cyrus Smith.

Uczyniono to za pomocą dwóch palów silnie wbitych w piasek. Poczem osadnicy nasi, puściwszy się lewym brzegiem Dziękczynnej, przybyli wkrótce do pierwszego jej kolana.

Tu zatrzymali się by się zastanowić nad tem, czyliby most nie powinien być rzuconym w tem miejscu. Miejsce to wydawało się odpowiedniem.

W samej rzeczy odległość tego miejsca od „Przystani balonowej,“ odkrytej na południowym wybrzeżu, nie wynosiła więcej jak półczwartej mili, a od mostu do przystani łatwo było przerąbać drogę, po której mógłby przejechać wóz, i tym sposobem ułatwić komunikację między Pałacem Granitowym a południową częścią wyspy.

W ówczas Cyrus Smith objawił towarzyszom swoim plan zarówno łatwy do uskutecznienia jak nader korzystny, nad którym od dłuższego czasu przemyśliwał. Plan ten polegał na tem: by oddzielić zupełnie Wielką Terasę od reszty wyspy i przez to zabezpieczyć ją od napadów tak czworonożnych jak i czwororękich stworzeń. Tym sposobem Pałac Granitowy, „dymniki,“ podwórko i górna część terasy przeznaczona na zasiewy, byłyby ochronione przed spustoszeniem dzikich zwierząt.

Zamiar ten był nader łatwym do wykonania, i oto, jakim sposobem inżynier zamyślał przywieść go do skutku.

Terasa była już z trzech stron bronioną potokami bądź sztucznemi, bądź też naturalnemi.

Od strony północno-zachodniej brzegami jeziora Granta, ciągnącemi się od zakrętu przytykającego do dawnego kanału odpływowego, aż do owego przekopu dokonanego we wschodnim brzegu jeziora dla odpływu wody.

Od strony północnej, t. j. od owego przekopu aż do morza, nowym potokiem, który utorował sobie drogę przez Terasę i piaski nadbrzeżne, po wyżej i po niżej wodospadu, i w samej rzeczy dość było zagłębić koryto tego potoku, by uniemożliwić zwierzętom przechód przez niego.

Od wschodu, samem morzem, i to: od ujścia rzeczonego potoku do ujścia Dziękczynnej.

Wreszcie i od południa, od ujścia aż do kolana Dziękczynnej, gdzie miano wybudować most.

Pozostawała więc tylko część zachodnia Terasy, między kolanem rzeki a południową kończyną jeziora, w przestrzeni zaledwie jedno-milowej, która stała całkiem otworem. Lecz nie było nic łatwiejszego, jak wykopać wzdłuż fosę szeroką i głęboką, i napełnić ją wodą z jeziora, którąby drugim spadem odpływała do Dziękczynnej. Poziom jeziora niewątpliwie obniżyłby się nieco wskutek tej nowej śluzy, lecz Cyrus Smith przekonał się, że Czerwony Potok dostarczał dość wody, by można było bezpiecznie przedsięwziąć ten projekt.

— Tak więc, dodał inżynier, Wielka Terasa stanie się istotną wyspą, oblaną ze wszech stron wodą, a z resztą dzierżaw naszych łączyć ją będzie tylko most, który wybudujemy na Dziękczynnej, dwa mostki rzucone już powyżej i poniżej wodospadu, a w końcu dwa mostki, które trzeba jeszcze będzie postawić, jeden na fosie, którą proponuję wykopać, a drugi na lewym brzegu Dziękczynnej. Otóż jeśli te mosty i mostki będzie można zwodzić do woli, w takim razie Wielka Terasa zabezpieczoną będzie od wszelkiego napadu.

Cyrus Smith, chcąc się jaśniej wytłumaczyć swoim towarzyszom, naszkicował mapę Wielkiej Terasy, i wtedy pojęli wszyscy odrazu projekt ten w ogólnym zarysie i przyjęli go jednomyślnie, a Pencroff potrzęsając swą siekierą ciesielską, zawołał:

— Więc najpierw bierzmy się do mostu!

Była to robota ze wszystkich najpilniejsza. Wybierano więc przydatne do tego drzewa, potem takowe ścinano, ogołacano z gałęzi i przerabiano na belki, tarcice i deski. Most ten miał być wybudowanym tak, ażeby podczas gdy część jego przypierająca do prawego brzegu Dziękczynnej byłaby nieruchomą, natomiast część jego przypierająca do lewego brzegu mogła być podnoszoną do góry za pomocą wagi, jak to bywa przy mostach śluzowych.

Łatwo pojąć, że była to praca niemała, i najzręczniej nawet poprowadzona wymagała zawsze pewnego czasu, szerokość rzeki bowiem wynosiła w tem miejscu około ośmdziesiąt stóp. Trzeba więc było wbijać pale w jej łożysko, ażeby się na nich mógł utrzymać pomost i ustawić kafar do wbijania palów mających utworzyć dwie arkady i wzmocnić most do znoszenia większych ciężarów.

Na szczęście nie brakowało ani narzędzi do obrabiania drzewa, ani okucia do spajania go, nie brakowało też człowieka genjalnego, który

się znał wybornie na tego rodzaju robotach, ani człowiekowi temu nie brakowało pomocników gorliwych, którzy przez te siedm miesięcy nabyli niepospolitej wprawy mechanicznej. A trzeba przyznać, że Gedeon Spilett nie był bynajmniej najniezręczniejszym ze wszystkich, i co się tyczy zmyślności, współzawodniczył z samym marynarzem, który „nie spodziewał się nigdy (jak mówił) tyle po zwykłym dziennikarzu!“

Budowa mostu na Dziękczynnej trwała trzy tygodnie, które upłynęły wśród natężającej pracy. Śniadano zawsze na tem samem miejscu, gdzie się odbywała robota, a ponieważ pogoda była właśnie przepyszna, dopiero na wieczerzę powracano do Pałacu Granitowego.

Przez ten czas zauważano, że Jow przywykał coraz bardziej do swego nowego położenia, i spoufalał się ze swymi nowymi panami, na których spoglądał zawsze z wielkiem zadziwieniem. Przez ostrożność jednak, Pencroff nie pozostawiał mu jeszcze całkowitej wolności, odkładając to słusznie aż do czasu, kiedyby Terasa skutkiem zamierzonych prac oddzieloną została nieprzebytemi granicami od reszty wyspy. Top i Jow żyli ze sobą w najlepszej zgodzie i chętnie bawili się razem, ale Jow postępował zawsze z wielką powagą.

Dnia 20. listopada ukończono budowę mostu. Część jego ruchoma, równoważona umieszczoną na przeciwnej stronie wagą, poruszała się z łatwością i niewielkiego trzeba było natężenia, by ją podnieść do góry. Pomiędzy zawiasami a ostatnią poprzecznicą, na której spierał się most, gdy go spuszczano, była przestrzeń dwudziestu stóp, a szerokość ta wystarczała, by zwierzętom uniemożliwić przystęp na drugi bok rzeki.

Wtedy zastanowiono się nad tem, czyby nie należało się wrócić po powłokę balonową, przechowywaną dotychczas w bezpiecznem ukryciu. Lecz aby ją przystawić, trzeba było zajechać wózkiem aż do samej Przystani Balonowej, a tem samem przerąbać wprzód drogę przez gęstwiny boru Zachodniej Ręki. To zaś wymagało pewnego czasu. Pencroff zatem i Nab ruszyli pierwej na zwiady i dotarli aż do rzeczonej Przystani, a gdy się przekonali, że złożony w jaskini „stoch płótna“ znajdował się w zupełnie dobrym stanie, postanowiono nie przerywać dalszych robót około odosobnienia Wielkiej Terasy.

— To nam pomoże do korzystniejszego pomieszczenia naszego drobiu, zauważył Pencroff, nie będziemy się bowiem potrzebowali obawiać ani odwidzin ze strony lisów, ani też napadów innych szkodliwych bestyj.

— Nie mówiąc już o tem, dodał Nab, że będziemy mogli wykarczować Terasę i przesadzić na nią rozmaite dziko rosnące rośliny...

— I przygotować drugie pole pod zasiew! zawołał tryumfująco marynarz.

I w samej rzeczy pierwsze pole, zasiane jedynem ziarnem, wydało, dzięki staraniom Pencroffa, wspaniały plon. Zrodził bowiem przepowiedzianych przez inżyniera dziesięć kłosów, a ponieważ każdy kłos zawierał ośmdziesiąt ziarn, przeto osada znalazła się w posiadaniu ośmiuset ziarn — w przeciągu sześciu miesięcy — co pozwalało spodziewać się rok rocznie dwóch zbiorów.

Owe ośmset ziarn, mniej pięćdziesiąt, które roztropność nakazywała przechować, miano teraz zasiać w nowem polu, z niemniejszą troskliwością, jak owe jedyne ziarnko.

Sprawiono zatem pole pod zasiew i otoczono je dokoła wysokim i szpiczastym częstokołem przez który czworonożne zwierzęta z wielką trudnością zdołałyby przeleźć. Do odstraszenia zaś ptactwa miały służyć rozmaite skrzypiące kołowrotki i maniaki, spłodzone w bujnej fantazji Pencroffa. Wtedy zasadzono owe siedmset pięćdziesiąt ziarn w małe regularnie pociągnięte bruzdy, a reszty miała dokonać natura.

Dnia 21. listopada rozpoczął Cyrus Smith odmierzać fosę, mającą zamykać Terasę od zachodu, mianowicie: od południowej kończyny jeziora Granta aż do kolana Dziękczynnej. W miejscu tem leżało z wierzchu dwie do trzech stóp czarnej ziemi, a pod spodem pokład granitowy. Trzeba więc było fabrykować na nowo nitroglicerynę, a ta sprawiła zwykły swój skutek. W przeciągu dni piętnastu wydrążono w twardym gruncie Terasy fosę dwanaście stóp szeroką a sześć stóp głęboką. Tym samym więc co pierwej sposobem utworzono nowy wyłom w skalistym brzegu jeziora, przez który przelała się woda do nowego łożyska i utworzyła mały potoczek nazwany „Potokiem Glicerynowym“ Dziękczynna zyskała przez to jedno nowe ramię. Tak jak przepowiedział inżynier, poziom jeziora obniżył się przez to lecz prawie nieznacznie. W końcu, ażeby dopełnić całkowitego odgraniczenia Wielkiej Terasy, rozszerzono znacznie koryto potoku przerzynającego piaszczyste wybrzeże i z obu stron ujęto piaski w podwójny częstokół.

W pierwszej połowie grudnia zakończono wszystkie te prace, a Wielka Terasa, to jest: pięciokąt nieregularny, liczący blisko cztery mile obszaru i opasany do koła wodą, została tym sposobem zabezpieczoną od wszelkich nieproszonych gości.

Przez cały ten miesiąc panowały nieznośne upały. Ponieważ jednak osadnicy nasi nie chcieli zwlekać z wykonaniem swych projektów, a potrzeba założenia podwórka dla drobiu stawała się coraz pilniejszą, przystąpiono zatem do tego nowego przedsięwzięcia.

Rozumie się samo przez się, że od czasu odosobnienia Wielkiej Terasy od reszty wyspy, pan Jow odzyskał napowrót wolność. Odtąd nie opuszczał więcej ani na krok swych panów i nie zdradzał żadnej skłonności do ucieczki. Było to zwierzę, łagodne a przytem niepospolitej siły i zdumiewającej zręczności. W łażeniu po drabince Pałacu Granitowego nikt się nie zdołał z nim mierzyć. Używano go także do rozmaitych robót, ciągnął ładunki z drzewem i woził kamienie, które wydobywano z koryta Potoku Glycerynowego.

— Nie jest to jeszcze murarz skończony, ale „fryc“ *) z niego nie zły! żartował Harbert, stosując ten przydomek „fryc“ do miana, jakiem murarze zwykli obdarzać swych pomocników.

Podwórko przeznaczone dla drobiu zajmowało przestrzeń piaszczystą dwiestu yardów kwadratowych przy południowo-wschodnich brzegach jeziora. Otoczono takowe dokoła palisadą i poklecono rozmaite kryjówki dla ptactwa, które je miało zamieszkiwać. Były to budki chruściane, podzielone na liczne przegródki, które wkrótce były gotowe na przyjęcie upragnionych gości.

Pierwszą była para tinamusów, która wkrótce doczekała się licznego potomstwa. Towarzystwa dotrzymywało jej pół tuzina kaczek zamieszkujących brzegi jeziora. Niektóre z nich należały do owego rodzaju chińskich kaczek, roztaczających skrzydła w kształcie wachlarza, a połyskiem i żywą barwą piór; współzawodniczących ze złotemi bażantami. W kilka dni później schwytał Harbert parę gallinaceów o okrągłym ogonie złożonym z długich piór, były to wspaniałe „alektory“, które niebawem przyswoiły się najzupełniej. Co się tyczy pelikanów, zimorodków i kur wodnych, te same przychodziły do podwórka, i cały ten światek gruchający, krzyczący i gdakający, po krótkiej wzajemnej rozprawie, godził się ze sobą i ze swym losem i rozmnażał się w sposób rokujący naszej osadzie najpiękniejsze widoki na pieczyste.

Cyrus Smith, ażeby dokonać swego dzieła, wystawił w jednym rogu podwórka gołębnik. Pomieszczono w nim tuzin owych gołębi gnieżdżących się po wierzchołkach skał Wielkiej Terasy. Ptaki te przywykły wkrótce powracać co wieczór do nowego mieszkania i okazywały się skłonniejszemi do oswojenia, niżeli współplemienicy ich, grzywacze, które zresztą rozpładzają się tylko w stanie dzikim.

Wreszcie nadszedł czas właściwy do spożytkowania powłoki balonowej na bieliznę, zachować ją bowiem w tej samej postaci i puszczać się balonem napełnionym ogrzanem powietrzem przez niezmierzoną pustynię morską, mogliby chyba ludzie obrani ze wszystkiego; Cyrus Smith jednak, jako człek praktyczny, ani myślał o tem.

Chodziło o to, ażeby powłokę balonową przywieźć do Pałacu Granitowego; osadnicy więc nasi zadali sobię pracę, ażeby ciężki swój wózek uczynić składniejszym i lżejszym. Lecz choć już nie brakowało podwody, trzeba było jeszcze wynaleźć siłę pociągową! Czy też nie istniały na wyspie jakie zwierzęta przeżuwające, samorodnej rasy, które by były w stanie zastąpić konia, osła, wołu lub krowę? Oto było pytanie.

— W istocie, rzekł Pencroff, przydałoby nam się jakie bydlę pociągowe, zanim pan Cyrus zechce nam sporządzić wóz parowy albo i lokomotywę, bo z pewnością będziemy mieli kiedyś kolej żelazną z Pałacu Granitowego do Przystani Balonowej, a z linją boczną prowadzącą do góry Franklina!

I zacny marynarz wierzył sam święcie w to co mówił! Co to może wyobraźnia, gdy się przyłączy do niej ufność.

Ażeby jednak nie przesadzić, powiemy, że byle jakie zwierzę do zaprzęgu byłoby zadowoliło Pencroffa, a ponieważ Opatrzność miała dla niego pewną słabość, więc nie długo dała mu czekać.

Pewnego dnia, było to 23go grudnia, usłyszano nagle Naba krzyczącego, a Topa szczekającego na wyścigi. Osadnicy zatrudnieni właśnie w „dymnikach“, przybiegli co tchu, obawiając się jakiego nieszczęścia.

Cóż ujrzeli? Oto dwa piękne duże zwierzęta, które nieroztropnie zapędziły się aż na terasę, przeszedłszy po niezamkniętym właśnie mostku. Patrząc na nie, rzekłbyś: dwa konie, lub co najmniej dwa osły, samiec i samica, o smukłych kształtach, maści izabelowej, z białemi nogami i białym ogonem, z czarnemi pręgami na głowie, karku i grzbiecie. Szły spokojnie, nie zdradzając najmniejszego niepokoju i bystremi oczami spoglądały na tych ludzi, w których nie upatrywały jeszcze przyszłych swych panów.

*) We francuskim oryginale stoi: *singe*, tak murarze francuzcy nazywają swych pomocników. Ukrywający się tu w tym wyrazie dowcipny dwuznacznik nie da się w polskiem wiernie odtworzyć. Przyp. tłum.

— To onagasy! zawołał Harbert, czworonogi stanowiące pośrednią rasę pomiędzy żebrą a kwaggą!

— Dla czego nie nazwać ich osłami? zapytał Nab.

— Ponieważ nie mają wcale długich uszów i posiadają kształty zgrabniejsze!

— Osły czy konie, mniejsza z tem, odparł Pencroff, w każdym razie jest to „siła pociągowa“, jak powiada pan Smith, a jako taką należy ją ujarzmić!

Marynarz, nie płosząc zwierząt, przekradł się wśród zarośli do mostku na Potoku Glicerynowym, zwiódł mostek i w jednej chwili onagasy zostały jeńcami.

Możnaby sądzić, że je pojmano teraz przemocą i przyswajano gwałtem? Bynajmniej. Postanowiono pozwolić im kilka dni przechadzać się swobodnie po terasie porosłej bujną paszą, a tymczasem inżynier począł obok podwórka budować stajnię, ażeby onagasy miały dobrą podściółkę i schronienie na noc.

Tak więc piękna ta para przechadzała się całkiem wolno, a osadnicy nie przybliżali się do nich, by ich nie płoszyć. Kilkakrotnie jednak zdawały się onagasy, przywykłe do dalekich przestrzeni i głębokich lasów, uczuwać potrzebę opuszczenia terasy, zbyt szczupłe dla nich posiadającą rozmiary. Wówczas biegały wzdłuż wody, stanowiącej nieprzebytą dla nich zaporę, ryczały przeraźliwie, potem pędziły cwałem przez trawę, a gdy się znów uspokoiły, stały nieruchomie całemi godzinami, wpatrując się w ową nieprzejrzaną puszczę, na zawsze dla nich zamkniętą!

Tymczasem sporządzano całą uprząż z włókien roślinnych i w kilka dni po pojmaniu onagasów, nie tylko wózek z uprzężą były w pogotowiu, lecz także przebito drogę albo raczej przerąb środkiem lasu Zachodniej Ręki, od kolana Dziękczynnej aż do Przystani Balonowej. Można więc było przejechać tamtędy wózkiem, i z końcem grudnia przedsięwzięto pierwszą próbę z onagasami.

Pencroff już był ułaskawił te zwierzęta do tego stopnia, że jadły mu z ręki i pozwalały zbliżać się do siebie, mimo to jednak zaprzężone po raz pierwszy, stawały dęba i zaledwie je można było utrzymać. Wkrótce jednak dały się nagiąć do nowej służby, onagasy bowiem mniej narowiste od zeber, używane bywają często do zaprzęgu w górzystych krajach południowej Afryki i zdołano je nawet zaaklimatyzować w chłodniejszych stosunkowo krajach Europy.

Dnia tego cała osada z wyjątkiem Pencroffa, który postępował na czele, wsiadła na wózek i ruszyła w drogę ku Przystani Balonowej. Rozumie się samo przez się, że jazda taka po drodze zaledwie trochę zrównanej, tłukła niemiłosiernie kości, przybyto jednak do kresu podróży bez żadnej przeszkody i tego samego dnia jeszcze można było naładować na wózek powłokę balonu wraz z innemi jego przyrządami.

O godzinie ósmej z wieczora wózek, minąwszy most na Dziękczynnej, stoczył się wzdłuż lewego brzegu rzeki i zatrzymał się na wybrzeżu. Wyprzężono onagasy i odprowadzono je do stajni, a Pencroff przed zaśnięciem westchnął raz jeszcze potężnie na znak zadowolenia, a westchnienie to powtórzyły wszystkie echa Pałacu Granitowego. (C. d. n.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

— Karol widział ją raz, gdy jeszcze wychodziła z domu, ale Zgorzelski był u niej w domu i nie mógł naopowiadać mi się o zmianach, które tam zastał. Być może, że jak ty powiadasz, księża przyczynili się do tego, ale ostatecznie, nie do mnie przecież należy, sądzić matkę... Mama jest bardzo religijną, bardzo! Od czasu jak uważa mój los jako zabezpieczony, wszystko co ma, oddaje na kościoły, na ołtarze, na wsparcie Ojca Świętego w jego nędzy... Ty się uśmiechasz! Wszak wiem, że Ojcu Świętemu powodzi się wcale dobrze, ale mama wierzy w to, że on jest w niewoli i że nie ma kawałka chleba, a ja jej tego nie wyperswaduję... mama wierzy w to najzupełniej!

— Nie wątpiłem nigdy, że mama jest osobą dobrej wiary; już samo dobre serce nie pozwoliłoby jej nic udawać.

— To... chyba ja jestem osobą złej wiary, twojem zdaniem?

— Cóż znowu, Helenko! Zkąd ci przyszło do głowy robić takie porównanie? Gdybyś, wiedząc doskonale, że np. papież rzymski opływa w dostatkach, i że interesa religji nie są bynajmniej zagrożone w skutek tego, iż odjęto mu władzę świecką, pomimo to, dla jakichś ubocznych względów udawała, że wierzysz w szczerość lamentów Stodolskiego lub Kriechewitza na uciemiężenie głowy kościoła, to działałabyś w złej wierze. Ponieważ zaś nie udajesz tego, więc nie pojmuję, jak możesz przypuszczać, że ci kto przypisuje złą wiarę!

— Nie mam żadnych ubocznych względów, i nie potrzebuję nic udawać, najmniej zaś udawać sympatji dla świeckiej władzy papieża. Ale mówiłam ci nieraz, że wszystkie wasze rozumowania nie wystarczają wcale do zapełnienia próżni, jaką czuję w sercu, ilekroć próbuję wyrugować z tamtąd pierwszą, dziecinną moją wiarę. Słuchałam was nieraz z upodobaniem, gdyście powoli ale z gruntu obalali cały ten mój gmach cudowny— dawałam się wam przekonywać, posuwałam się dalej od was w śmiałych hypotezach... wszak pamiętasz, że sam raz musiałeś mi dowodzić istnienia Boga?

— Pamiętam.

— Otóż powiadam ci, że wam dobrze jest może z waszym, jak że to nazywacie?... racjonalizmem. Ale mnie on nie wystarcza, a co mi się wpoiło w duszę za młodu, to wraca teraz z podwójną siłą. Może to słabość, zabobon, może to nazwiesz udawaniem, złą wiarą, ale powiadam ci, że chociaż umiem położyć na karb Stodolskiego lub Kriechewitza pewne ekstrawagancje religijne, to jednak i we mnie budzą pewną mimowolną grozę te wszystkie świętości, w które wierzy tak mocno moja matka. Mówię ci to szczerze, a ty— powiedz mi, że jestem osobą złej wiary, i może, bez serca!

— Kobieta!... Dziecko! mruknął był p. Tadeusz, uśmiechając się dobrodusznie. Gdy pani Helena skończyła, dodał głośno, całując ją w czoło: — I dobrze ci z tą twoją „mimowolną grozą?“

— Lepiej, niż z waszą filozofją. Ta widocznie stworzoną jest dla silniejszych istot, niż my kobiety.

— No, no, mniejsza o to. Byleś nie wymagała, ażebym sformował szwadron krakusów, którzyby w obronie świeckiej władzy papieża wykluli paręset Włochów, dobijających się wolności i niepodległości... Ta twoja „mimowolna groza“ jest dobrą i świętą rzeczą, zkądkolwiek się bierze. Każdy człowiek powinien mieć jakąś grozę tego rodzaju w swojej duszy. Ale, wszak nie zamierzyliśmy ponoś wykładać sobie nawzajem etykę w formie poufnego dyalogu! Mówiliśmy o mamie. Cóż ci opowiadał Zgorzelski?

— Nic więcej, tylko tyle: zastał dom prawie pusty, wszystko co mogło mieć jakąś wartość, gdzieś wyniesione. Żywej duszy nie było przy mamie, chorej, w gorączce, fantazującej o tem, że straciła łaskę u Boga, ponieważ bezbożna córka odmówiła jej mamony, potrzebnej na wyposażenie zakładu Panien Niepokalanek w Zaslowcu. Zgorzelski twierdzi, że uciekł przerażony jej widokiem i jej przekleństwami.

— To prawdziwe nieszczęście! Musimy natychmiast jechać do miasta. Nie podobna zostawiać matki w tem położeniu, jeżeli dziesiąta część tego jest prawdą, co mówił Zgorzelski. Jedźmy zaraz jutro, jak najraniej, albo — może wolisz natychmiast, nocnym pociągiem? Ten Zakład Niepokalanek! Karol mówił mi coś o tem. Zatrzymała go na ulicy i pytała się, czy nie przysłałaś na jego ręce pieniędzy na ołtarz w Zasłowcu...

— Ach, mam całą paczkę listów w tej materji, ale nie chciałam wspominać ci o tem. Co dwa wiersze, ta sama piosenka o dwudziestu tysiącach na zakład Zasłowiecki, Panien Niepokalanek pod wezwaniem Serca Jezusowego. Czy uwierzysz, że nie tylko doktor Czulicki, o którego zdolnościach nie najlepsze mamy wyobrażenie, ale i inni lekarze twierdzą, że mama nie przyjdzie do siebie, jeżeli nie będzie mogła wypełnić ślubu, zrobionego zapewne pod wpływem księdza Stodolskiego. Mój Tadzuniu, daj mi tych dwadzieścia tysięcy, a ja pojadę sama, złożę ten okup Stodolskiemu i przywiozę mamę do Rymiszowa, ażeby ją raz na zawsze uwolnić od kosztownej opieki duchownej!

— Hm... dwadzieścia tysięcy...

— Ach, prawda, jakam ja dziecinna! Dwadzieścia tysięcy, to bardzo znaczna suma, a my obiedwie, ja i mama, kosztujemy cię już tyle pieniędzy! Żałuję, że mi się wymknęło to słowo, chociaż jestem przekonaną, że nie ma innego sposobu ocalenia mamy...

— Pozwól-że, moje dziecię. Dwadzieścia tysięcy, to wprawdzie kapitał bardzo okrągły, ale nie przypuszczasz zapewne, bym go skąpił w razie potrzeby. Tylko nie potrzeba wyrzucać go za okno. Gdybym ci go dał do ręki, nie uwolniłabyś jeszcze mamy bynajmniej ze szponów Stodolskiego. Owszem, nie on, to jaki ksiądz Uleżałowski albo też Piekiełko wynalazłby nowy sposób podojenia zdziecinniałej staruszki, zachęcony łatwością wydobycia od nas pieniędzy. Zrobimy inaczej. Pojedziemy do miasta, ty pójdziesz do mamy, a tymczasem ja i Karol weźmiemy się do popa. Wytłumaczymy mu, jeżeli tego będzie potrzeba, że kryminał nie jest zbudowany wyłącznie dla ludzi świeckich, wyliczymy, ile pieniędzy wyłudził już od twojej matki, i przedstawimy mu nakoniec, że nie wolno jest wymuszać ofiar w ten sposób, zwłaszcza od osób słabych na umyśle. Sądzę, że tak czy owak potrafimy zniewolić go, by poszedł do mamy i uspokoił ją co do Niepokalanek i co do zbawienia jej duszy. A gdy nam wszystko pójdzie pomyślnie, sprowadzimy mamę tutaj, i

ksiądz Chyżycki powie jej reprymendę po swojemu, po bernardyńsku, po staropolsku, jak to umieli dawni księża. To będzie najlepszem lekarstwem dla niej! Z tych dwudziestu tysięcy zaś, utworzymy cztery stypendja „imienia Heleny“ dla sierot takich, jak np. młody Roliński, albo... no, albo inne sieroty. Jakże — czy zgoda?

— Już ja widzę, że ty jesteś praktyczniejszym odemnie. Swoją drogą, gdybym miała tych dwadzieścia tysięcy...

— Dałabyś je Niepokalankom?

— Nie odpowiem ci na to pytanie, bo jestem „osobą złej wiary, i bez serca.“

— Helenko! Zkąd-że ta gorycz? Wszak nie powiedziałem jeszcze, że nie dam i dla Niepokalanek, jeżeli tego koniecznie będzie potrzeba! Przyznaj sama, że mamy dosyć klasztorów, i że trudno budować nowe na podstawie informacyj, zasięgniętych od Zgorzelskiego! Toż pojedziemy, zobaczymy, i zrobimy, co będzie w naszej mocy.

— Tak, pojedziemy i zobaczymy. Dobrej nocy, Tadziu.

— Co tobie jest, Helenko, jesteś okropnie bladą... co znaczy to niepojęte wzruszenie?

— Niepojęte, dla ciebie. Wszak chodzi tutaj o *moją* matkę, nie o twoją! Nic dziwnego, że nie mogę zdobyć się na tyle flegmy i zimna, co ty!

Pani Helena stała u drzwi, i mówiła te słowa z ręką na klamce, odwrócona ku panu Tadeuszowi, który w istocie siedział dotychczas bardzo flegmatycznie w swoim fotelu, i miał minę dobroduszną wprawdzie, ale na pozór obojętną, podczas gdy ona drżała na całem ciele i miała wzrok tak roziskrzony jak wówczas, gdy go się przestraszył pan Alfred. Była to od ośmiu lat pierwsza scena małżeńska w domu państwa Zameckich. Nie byłoby do niej przyszło, gdyby pani Helena nie była zamierzyła bądź co bądź dostać od męża sumę, potrzebną na cel, jak nam wiadomo, mniej pobożny od Niepokalanek. I gdyby okoliczności nie były tak naglącemi, pani Helena byłaby niewątpliwie umiała nakłonić Tadeusza do spełnienia swoich życzeń. Ale najzręczniejszy dyplomata pod presją przykrego zbiegu okoliczności traci zwykłą swoją zimną krew i przytomność umysłu. To samo zdarzyło się pani Zameckiej. Pod każdym innym zręcznie zmyślonym pozorem mogła była wejść w posiadanie żądanej kwoty — historja zaś o chorobie p. Podwalskiej, właśnie dla tego, że była prawdziwą, nastręczała inne, racjonalniejsze sposoby wyjścia. Otóż pani Helena, zamiast uznać swoją niezręczność, i ponowić atak z innej strony, uczuła się nagle oburzoną do głębi. Pierwszy raz prosiła męża o pieniądze, bo zawsze wystarczało najdelikatniejsze przymówienie się, ażeby go pobudzić do jak największej hojności. Prosiła go o pieniądze dla matki, dała mu do zrozumienia, że jej własnym uczuciom stałoby się zadość, gdyby mogła obdarzyć zakład bogobojny, nawiasem mówiąc, trudniący się wychowaniem panien. Odmówił jej, a co gorsza, wspomniał o stypendjach dla sierot opuszczonych, i poruszył przez to drugą, drażliwszą jeszcze strunę. Ztąd poszło, iż niebacznie napomknęła o swoich uczuciach ku matce, zapominając w uniesieniu, jak słabe o uczuciach tych wyobrażenie mógł mieć człowiek, który wiedział o braku naturalniejszych jeszcze uczuć w jej sercu. Jeżeli zaś to było niebacznem, to jeszcze bardziej niebacznym był wyrzut, mieszczący się w ostatnich jej słowach, wyrzut bardzo niesłuszny, bo p. Tadeusz już parę razy niezmiernie okazał się uprzedzającym i szczodrym, gdy p. Podwalska potrzebowała pomocy pieniężnej. Na nieszczęście, o ile pani Helena była rozdrażnioną, o tyle jej mąż zachował był całą swoją zimną krew i mógł przeto poczynić przynajmniej część tych uwag, które tu czynimy. Przeleciały one szybko przez jego umysł i wywołały w nim ogromne wzburzenie. Po raz pierwszy widział ją tak rozdrażnioną, i po raz pierwszy powiedział sobie, że pokochał kobietę złą i niewdzięczną, z gruntu złą i z gruntu niewdzięczną. To też wstał nagle, i wszystko co myślał, malowało się w jego twarzy. Czy nie mógł mówić, czy nie chciał — dość, że popatrzył jej tylko w oczy i odwrócił się w milczeniu. Wyszła, nie zrozumiawszy w pierwszej chwili jego spojrzenia, ale utkwiło jej w pamięci. Zawierało ono w sobie sumę tego wszystkiego, czem — jak wiemy z jej dziennika i z jej rozmów z p. Zgorzelskim — Tadeusz mimo woli swojej przygnębiał ją od dawna. Wypowiadało ono całą ową wyższość jego moralną, o której daremnie kusiła się wmówić w siebie, że była urojoną, ba, z pewnego idealnego niby punktu widzenia, trywjalną.

Mieszkańcy Rymiszowa zapewniają, że tej nocy w dwóch niezbyt od siebie odległych oknach zamku widzieć można było światło aż do wschodu słońca, a gdy już słońce było wysoko, jeszcze o jedno z tych dwóch okien odbijał się blask lampy. Kto dłużej czuwał, p. Tadeusz, czy pani Helena, tego nie wiem, wiem tylko, że ile razy widzę pojedyncze okno oświetlone bardzo pózno w nocy, mimowoli przychodzi mi na myśl, że w tym domu ktoś musi być chory, albo nieszczęśliwy. (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Najstarsze ślady istnienia człowieka w Europie.

(Dokończenie).

Okres bronzu.

Czwarty okres zjawia się w budowlach nawodnych jezior szwajcarskich, tudzież innych, jakoteż w miejscowościach stałego lądu, w torfowiskach i rumowiskach. A ochrzczony został bronzowym, ponieważ przeważnie z bronzu znajdują się sprzęty w tym okresie używane i sporządzane. Niektóre ze szwajcarskich budowli palowych przetrwały okres kamienia, przedłużając żywot do czasów bronzu, inne zaś, zwykle głębiej w jezioro zasunięte, pochodzą zdaje się dopiero z ostatniego okresu.

Nie ulega wątpliwości, że sprzęty bronzowe, znajdujące się w budowlach nawodnych szwajcarskich, sporządzane były na miejscu, jak świadczą o tem pozostałe odlewy modelowe; nie sprowadzono ich więc jak pierwotnie mniemano, ze wschodu *). — Dotychczas także panuje niepewność, czy znajdowane w Europie północnej sprzęty bronzowe. pochodzą w istocie od Fenicjan, jakkolwiek przemawiają za tem pojedyncze znaki symboliczne i przedmioty wchodzące w zakres wyznania. Według doświadczeń i badań profesora berneńskiego von Fellenberga, bronz szwajcarski zawiera tylko cynę i miedź, gdy natomiast wschodnie i egipskie bronzy zawierają także przymieszkę ołowiu. Rozmaite sprzęty i przedmioty ozdoby, jak igły, pierścionki, naramienniki, zdradzają w obrobieniu pewien stopień ukształcenia i zmysłu artystycznego. Napotyka się niekiedy tak gustowne, że damy Szwajcarji nie wahały się w nie stroić na wieczorki. Jednakowoż i z tego okresu, jak z poprzedniego kamiennego, brak wszelkich wzorów, mogących dać wyobrażenie o roślinach i zwierzętach, a nawet o człowieku.

W tym okresie znajdujemy już naczynia garncarskie toczone na warstacie, i jakkolwiek nie wypalane do czerwoności, to jednak na żółto oparzane. Zamiast Dolmenów znajdują się mogiły grobowe, tak zwane Tumuli, pod któremi grzebano zwłoki ludzkie w postawie leżącej, wyprostowanej, razem z bronią i rozmaitemi ozdobami. Do rzędu tych mogił zaliczyć należy także tak zwane celtyckie mogiły, które napotykają się w wielkiej obfitości. W niektórych krajach widoczne ślady palenia zmarłych. Z bronzowego również okresu pochodzą nasypy ziemne zwane *Terramara* w Emilji koło Parmy.

Gorliwe poszukiwania profesora Rütimeyer pouczają nas, że w budowlach nawodnych z czasów bronzu znajdują się te same resztki zwierząt, co w budowlach z okresu kamienia. Różnica tylko w tem, że w okresie bronzowym przeważniej znajdują się gatunki zwierząt oswojonych, domowych, co jest również dowodem postępu w kulturze.

Wprowadzenie bronzu do Europy przypisują ludowi przybyłemu z Azji przed 5000 lat, który nazywają zwykle Aryjskim ludem. Okres bronzu przedłuża się do czasów historycznych, w wieki rozkwitu wielkich mocarstw egipskiego i assyryjskiego, a zatem na 1500 lat przed Chrystusem. O ile się zdaje, niektóre pojedyncze ludy wiedziały już podówczas o użyteczności żelaza.

Okres żelaza.

Czem bliżsi jesteśmy teraźniejszości i chyżego jej rozwoju, tem krótsze pojedyncze okresy, odpowiadające pewnemu stopniowi cywilizacyjnemu ludów Europy. Ostatnim okresem, który jest jeszcze reprezentowany w niektórych budowlach nawodnych, jest okres żelaza, sięgający ku przyszłości w czasy już historyczne. Nam tu idzie rozumie się nadewszystko o odszukanie pierwszych śladów istnienia żelaza, szczególniej w Europie zachodniej. Stanowiąc pewien termin tego starożytnego okresu, powinniśmy ciągle mieć na oku, że cywilizacja Wschodu wyprzedziła cywilizację szczególniej zachodu Europy o wiele, ale to wiele wieków.

I w tym okresie, i to już nawet w brzaskach jego, postrzegamy znaczny postęp w kulturze. Mogiły grobowe, do których rzędu zaliczyć należy jeszcze niektóre celtyckie, mnożą się. Obok zbroi żelaznej znajdują się także sprzęty bronzowe. Garncarskie wyroby już nietylko utoczone należycie, ale i wypalane zupełnie jak nasze dzisiejsze. Tutaj dopiero napotykamy po raz pierwszy przedmioty ze złota i srebra a także szklanne. Szczątki starożytnych pieców i żużlowisk napotyka się gdzieniegdzie tylko w ustronnych lasach górzystych. Niektóre z nich wzięto mylnie za żużlowiska wulkaniczne, w miejscowościach, gdzie nie może być mowy o wulkanach.

Do najdawniejszego okresu żelaznego możemy zaliczyć wygrzebane koło Berna w Tiefeman zbroje żelazne, naprowadzające na domysł pola walki i przypadające według domysłów na wiek szósty przed perjodami historycznemi. Do

*) Znaleziono także koło Nantes resztki odlewarni z czasów bronzu.

tegoż zdaje się zamierzchłego okresu należą cmentarzyska Hallstadtu, w których naczelnik górnictwa Ramsauer odkopał przeszło 900 grobów, znalazł mnóstwo broni żelaznej i przedmiotów z bronzu i takowe opisał.

Nie pójdziemy jednak w ślad za drobnemi szczegółami ostatniego okresu — rozminęlibyśmy się bowiem z głównem zadaniem. Gdybyśmy chcieli teraźniejszość przezwać analogicznem imieniem a charakterystycznem, to moglibyśmy nie bez słuszności — co już nieraz miało miejsce — nazwać wiek nasz wiekiem papierowym — nazwiemy go jednak idąc w ślad za znakomitym geologiem: okresem stali.

Kiedy nakoniec rzucimy raz jeszcze wejrzenie po za siebie na okresy przedhistoryczne, na okres mamuta, rena, kamieni gładzonych, bronzu — to do jakiego przyjdziemy wniosku? Ażaliż nie postrzeżemy, że ludzkość nie tylko w Europie, ale prawdopodobnie i na całej ziemi, rozwijała się ze stanu nader surowego, ze stanu zwierzęcego niemal i to bardzo powolnie, nie bez zboczeń, w ciągu lat tysięcy, podnosząc się coraz wyżej w rozwoju fizycznym i udoskonaleniu duchowym.

Być może, iż na tej drodze postrzeżeń i badań postradaliśmy nie jedną ułudę, stali się uboższymi tracąc nie jedno piękne marzenie — nie mogliśmy bowiem odnaleźć ani uroczego raju pierwszych naszych rodziców, ani też wieku złotego. Zyskaliśmy jednak przekonanie, że obdarzeni jesteśmy wielką zdolnością doskonalenia się, zdolnością, którą Stwórca obdarzył niezawodnie wszystkie stworzenia a szczególnie rodzaj ludzki. Przeświadczenia to otwiera nam piękną nadzieję, że rozwijać się będziemy coraz piękniej, coraz lepiej w pokoleniach, które przyjdą po nas.

POGADANKI.

XLII.

Piśmiennictwo naszemu przybyła w tym tygodniu nowa zupełnie gałąź, niezmiernie oryginalna. Pojawił się cały szereg rozpraw, tyczących się pytania, czyli pani Desta-Sadowska jest, lub nie jest znakomitą artystką. Jakkolwiek wszakże gruntownemi były badania znawców w tej materji, nie wyczerpały one jeszcze bynajmniej całego przedmiotu, owszem, niektórych szczegółów zaledwie z lekka dotknięto. Między innemi, kilkoma tylko słowy poruszono ważną okoliczność, czyli znakomita lub nie-znakomita artystka, o której mowa, ma prawo do obdarzenia nas perłami swojego głosu pod osłoną dziewięciu perełek hrabiowskiej korony, lub nie ma tego prawa — a okoliczność ta odgrywała przecież niepoślednią rolę w całym tym zajmującym sporze. Rycerski sprawozdawca *Ojczyzny*, opadnięty z frontu przez *Narodówkę*, z flanków przez *Dziennik Polski* i *Szczutka*, a z wszystkich innych stron zagrożony należącym już do historji „śmiechem całego miasta, dalipan, całego miasta," cisnął przeciwnikom swoim w oczy dwudziestoczterofuntowy zarzut, jakoby jedynie z tego powodu, iż pani D. S. jest hrabiną, odmawiali jej metody, głosu, rejestru, dominenda, diminuenda, czy czegoś podobnego, zapewne nader ważnego, tylko że ja się na tem nie znam. Otóż, o ile mi wiadomo, jedynie z wystawy fotogramów w handlu Brajmajera i Poluszkiewicza wzięto asumpt do przypuszczenia, jakoby pani D. S. była hrabiną. Tymczasem Brajmajer i Poluszkiewicz upoważnieni są wprawdzie do ozdabiania „całego miasta" krawatkami, trykotami i wszelkiemi innemi artykułami, służącemi do stroju lub potrzeby domowej, ale nie uzurpują sobie prawa do rozdawania tytułów. Z tego wynika, że jeźli sprawozdawca *Ojczyzny*, chce utrzymać swój zarzut w całej pełni, to musi udowodnić, iż w istocie jedna z rodzin drukowanych w roczniku Gotajskim liczy panią D. S. do swojego grona. Uskutecznić to można najlepiej na zasadzie stwierdzonego już nawet sądownie pewnika, że gdzie jest hrabina, tam zawsze da się odszukać przynależny do niej hrabia. Skoro to się powiedzie referentowi *Ojczyzny*, ultrademokratyczna zaciekłość i niesprawiedliwość *Narodówki*, *Dziennika*, *Szczutka* itd. wystąpi na jaw w całej swojej komunistycznej brzydocie, a pierwszy ja rzucę rękawicę każdemu, coby śmiał utrzymywać, że polska hrabina nie spiewa przynajmniej tak pięknie, jak p. margrabina de Caux, znana powszechnie pod nazwiskiem Adeliny Patti.

Natomiast udał się pomienionemu referentowi drugi argument na korzyść talentu pani D. S. — przytoczył bowiem w ostatnim tomie swoich rozpraw zdania dzienników paryskich, i dał tym sposobem do zrozumienia publiczności lwowskiej, jak niedorzecznem jest wierzyć swoim uszom więcej niż opinji prasy zagranicznej. Dziękuję Ci, Panie Boże, że nie jestem jako owi celnicy — ja od razu mówiłem, że pani D. S. spiewa lepiej od samej Niemej z Portici, ale nikt nie chciał mi wierzyć, a jeden muzykant jeszcze się śmiał ze mnie. Et!

* * *

Krakowskie *Szkice* zastanawiają się nad tem, że jeden literat warszawski opisał podróż w Tatry, nie zwidziwszy ich wcale, a drugi i to poeta założył magazyn zbuwia. Nic to dziwnego, i u nas nie jeden założyłby taki magazyn, gdyby słowo pańskie: *multiplicamini!* ziściło się na nim do tego stopnia, by miał kilkanaście par na sprzedaż. Ale czego nie dokaże jeden, to może dokazać stowarzyszenie, na wszelki wypadek zaś przedsiębiorstwo byłoby korzystniejszem niż niejedna księgarnia. Co się tyczy podróży opisanej a nie odbytej, to już w istocie pretensja *Szkiców*, jakkolwiek może słuszna, jest nieco wygórowaną, bo dzieją się w piśmiennictwie naszem bardziej cudackie rzeczy, na które nikt nie uważa. Czy nie znają *Szkice* przypadkiem kogoś, co pisuje n. p. o stosunku religji do innych nauk, nie znając z tych ostatnich żadnej, oprócz katechizmu? *Szkice* powinny go znać bliżej. Na wszelki wypadek łatwiej jest opisać Tatry nie widziawszy ich, niż rozprawiać o naukach, kwalifikując się chyba na przedmiot sprzedaży w projektowanym powyżej handlu.

* * *

Nie należy wszelako mniemać, by naukom powodziło się u nas zawsze tak źle, jak w tym wypadku. Sprawozdanie odczytane na dorocznem posiedzeniu w Zakładzie Ossolińskich wykazuje wymownemi cyframi, że oprócz takich, co rozprawiają o naukach, mamy i takich, którzy się niemi na serjo zajmują. Młodzi pracownicy na tem polu ruszają się, z innych ziem polskich przybywają nam cenne siły. Temi dniami dr. Stanisław Smolka objął docenturę w Krakowie, dr. Hirszberg habilitował się z wielkiem powodzeniem do wykładów na uniwersytecie lwowskim. Z Rygi przybył także w celu habilitowania się na docenta akademji technicznej, p. Brunon Abakanowicz, Litwin. Nakoniec, zapewniają, że zamierza przesiedlić się do Lwowa p. Ochorowicz, radaktor *Niwy*, główny reprezentant filozofji pozytywnej w Warszawie. Dotychczas, oprócz dr. Czerkawskiego, którego często odwołują z katedry inne zajęcia, filozofja nie miała drugiego prelegenta na uniwersytecie tutejszym. Jest nadzieja, że p. Ochorowicz zastąpi ten brak dotkliwy, i że pomimo tej inwazji pozytywizmu deszcz siarczysty i potoki rozpalonej smoły nie zniszczą nadpełwiańskiej Sodomy, ze względu na to, iż oprócz współpracownika *Szkiców*, posiadamy w naszych murach jeszcze najmniej dziewięciu mężów równie sprawiedliwych i niewinnych, a co panien, to i zliczyć trudno. Gdzie jest dziesięciu cnotliwych młodzieńców, tam dziewic powinno być najmniej dziesięć razy tyle.

* * *

Ad vocem niewinniątek, warto opowiedzieć wypadek, który się wydarzył podczas odwidzin ministra oświecenia w jednej z naszych szkół ludowych. Panienki nauczyły się były ostatniemi czasy deklamować wiersz niemiecki pt. *Die Biene* (pszczoła). Wywołano jedną z nich, najmniejszą — a Jego Ekscelencja, ażeby go dziecina nie wzięła za ludożercę, zapytał ją z uśmiechem:

— *Wie heisst du, mein liebes Kind?*

— *Die Biene!* odpowiedział cieniutki głosik, i tataratata! wyrecytował wiersz od początku do końca.

Jego Ekscelencja oświadczył wszakże, iż miał sposobność obserwować podobne wypadki w samym Wiedniu, a nawet wygłoszenie wierszy bywało mniej poprawnem.

Jan Lam.

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Intrygi Sulejmana.

W dwadzieścia cztery godzin, sprawiwszy się szybko, powrócił pułkownik, dostawiając mi dwóch wielkich szejków: Kittakara i Matonse z kilku pomniejszymi naczelnikami, oprócz jednego królewskiej krwi, który bocznem wyjściem umknął z namiotu. Z raportu mi podanego dowiedziałem się o sprawkach Sulejmana, który nie przybył, wymawiając się od towarzyszenia pułkownikowi jakimś pilnym interesem. W tym czasie ludzie jego zabierając rzeczy i niewolników, cichaczem wynieśli się na drugą stronę rzeki, uciekając przed pułkownikiem Abd-el-Kader. Takie były pierwsze czyny mojej nieregularnej armji. Szejki zaś wdając się w dalsze objaśnienia intryg Sulejmana, uwiadomili mnie o jego planach uknutych z Rahonko, i o barbarzyńskiem zgładzeniu ze świata niewolnika przezemnie bronionego.

Dowiedziawszy się szczegółów o krętactwie Sulejmana, wysłałem natychmiast kapitana Mo-

hamed Deii na czele pięćdziesięciu ludzi, z rozkazem uwolnienia wszystkich niewolników znajdujących się w obozie handlarskim, i rozbrojenia tych ludzi z kompanji Sulejmana, co uciekali przed pułkownikiem. W razie oporu, użyć miał siły oręża, a dwóch wakilów, Eddresa i Sulejmana dostawić mi na miejsce. Za powrotem kapitana, który sprawił się dość gracko, odbył się sąd wakilów. Obaj, tj. Sulejman i Eddres, przekonani przez świadków o tajemnem knowaniu z Rahonko, w celu napadnięcia na Riongo, wbrew moim zakazom, o nieposłuszeństwie względem rządu i o zabiciu niewolnika, którego w ręce Sulejmana powierzyłem, zostali skazani jeden na dwieście rózeg, drugi na sto, jako współwinny. Cały sąd i jego wykonanie odbyło się w ciemny wieczór, pod rozłożystemi drzewami lasu, gdzie przy oświetleniu ogni bengalskich, scena sądowa i egzekucja wypadły bardzo uroczyście, wbijając się we wrażliwy umysł dzikich.

Na drugi dzień mieliśmy wyruszyć w dalszą podróż. Quonga, szejk dystryktu, w którym byliśmy obecnie, przyszedł do mnie, tłumacząc swoją nieobecność gorliwem zajęciem się w dostarczaniu nam żywności. Przyprowadził z sobą ludzi do przenoszenia naszych rzeczy, i oznajmił mi, że król Kabba Rega z niecierpliwością oczekuje na moje przybycie, i w tym celu przysłał nawet trzech posłańców do mnie z prośbą o przyspieszenie podróży, ale ci bez skomunikowania się ze mną dotarli wprost do obozu handlarzy.

VII.

Król Kabba Rega.

Piętnastego kwietnia wyruszyliśmy w podróż w towarzystwie kilku szejków, między którymi Kittakara odznacza się prawdziwie godnem obejściem. Nie naprzykrzając się nigdy o prezenta, stanowi on wielki wyjątek w społeczeństwie Unyoro. W częstych z nim rozmowach, dowiedziałem się niektórych szczegółów tyczących się familji królewskiej, przy której piastuje godność odpowiadającą u nas posadzie pierwszego ministra. Kabba Rega jest szesnastym królem od czasu podbicia Unyoro przez Gallasów, którzy to najezdnicy przyszli od Wschodu, przerzynając się przez okolicę Langgos. Do dziś dnia jeszcze na pamiątkę zwycięzkiego pochodu, utrzymuje się zwyczaj, nakazujący nowemu królowi, przed wstąpieniem na tron, przespać dwie nocy na wschodnim brzegu Wiktorja Nilu. Ztamtąd posuwając się drogą, którą przebywał jego prajciec kiedy szedł podbijać Unyoro, król w czółnie przepływa rzekę i dobija do brzegu, w miejscu gdzie wylądował niegdyś wielki zwycięzca.

Po śmierci Kamrasi, zostali dwaj jego synowie: Kabka Miro, urodzony z żony książęcego rodu i Kabba Rega, po matce z pochodzenia pasterzy Bohooma. Podług wszelkich praw, tron powinien był należeć do Kabka Miro, lecz tenże chcąc pokojowo załatwić pretensje Kabba Regi, zaproponował bratu, by nie wszczynając wojny domowej, w przytomności zgromadzonego ludu, sami z orężem w ręku dobijali się władzy. Zwycięzca miał otrzymać tron. Ale Kabba Rega był tchórzem, i odmówił walki. Wtenczas rycerski Kabka Miro, raz jeszcze ofiarował mu układy, i jako synowi plemienia pasterzy, chciał oddać w posiadanie wszystkie stada bydła i owiec, zatrzymując tron dla siebie. Lecz i to nie było po myśli Kabba Regi, który jako prawdziwy tchórz, był wielkim krętaczem. Wchodząc więc w przymierze z handlarzami, kazał zabić swego brata i przywłaszczył sobie bez podziału tron z licznemi stadami.

Po wielu mozołach i nieprzyjemnościach z tragarzami, dobiliśmy się wreszcie 25 kwietnia do Masindi, stolicy Unyoro, 322 mil odległej od Ismailji, czyli Gondokoro, pod 1° 45′ stop. pół. szer. Położenie miasta jest dość urocze; leży ono na wysokiej wyżynie, urozmaiconej łagodnie zaokrąglonemi wzgórzami, zkąd rozległy roztacza się widok, zakończony od zachodu łańcuchem gór, okalającym brzegi dwadzieścia mil odległego jeziora, Albert Nyanza. Okolica jest po największej części otwarta, pokryta wysoką trawą, wśród której wznoszą się małe pagórki gdzie niegdzie zarosłe drzewami. Samo miasto odznacza się jak wszystkie prawie wsie Unyoro, wielkiem zaniedbaniem. Parę tysięcy chat, rozrzuconych bez najmniejszej symetrji na znacznej przestrzeni, i zbudowanych ze słomy, przypominają kształtem ule.

Dla siebie obrałem wygodną pozycję pod cieniem wspaniałego drzewa figowego, i tam na gruncie przez krajowców oczyszczonym z wysokiej trawy rozłożyliśmy się obozem. Zaraz na drugi dzień po przybyciu do Masindi, oddałem królowi oficjalną wizytę; wojsko wystąpiło w pełnej paradzie, banda szła na czele, wykonywając swoje najpiękniejsze melodje.

Kabbę Rega zastałem w swoim dywanie; była to schludnie zbudowana chata, obszerna i wewnątrz wybita perkalem w drukowane wzory, który dostał się tu drogą przez Zanzibar. Sam król był bardzo porządnie ubrany w suknię z kory drzewnej w czarne pasy, ładnego wyrobu; wyglądał przyzwoicie, a nawet zdawał się być przystojny jak na murzyna. Podczas tych odwidzin, kazałem przyprowadzić niewolników znalezionych w obozie Sulejmana, którzy z nami przyszli, a gdy przez swoich zostali poznani, obdarowałem ich wolnością, powracając ojczyznie, dla której prawdopodobnie byliby na zawsze straceni.

Kabba Rega chciał co prędzej oddać mi wizytę i 27 kwietnia wybierał się do mnie. Na jego przyjęcie, kazałem wyciąć drogę prowadzącą od królewskiego dywanu do mojego obozu, i wojsko w paradzie ustawiłem z dwóch stron namiotu, który otwarty do koła, ustrojony był w dywany i skóry z dzikich zwierząt. Muzyka stała najbliżej wejścia; gotowa uderzyć tryumfalny marsz na cześć króla, za jego ukazaniem się. Tymczasem, upłynęło już półtorej godziny od chwili, jak pierwszy posłaniec ukazał się z oznajmieniem, że Kabba Rega wyrusza w pochód ze swoim orszakiem, i przez ten czas kilku innych z kolei tą samą przyniosło mi wiadomość, ale ani króla ani orszaku jego nie mogliśmy ujrzeć. Wreszcie po długiem oczekiwaniu zjawił się Rahonka, dziad króla, z poselstwem od Kabba Regi: „że jeżeli mi to nie zrobi różnicy, wolałby mnie widzieć u siebie.“ Podejrzliwy młodzik, bojąc się widocznie bym mu nie wyrządził jakiej niemiłej niespodzianki, bał się przyjść do mnie. Oświadczyłem Rahonce, że król jego będąc bardzo młodym, nie nauczył się jeszcze grzecznych obyczajów, i dla tego wojsko, co wystąpiło, by mu oddać honory, wzbudza w nim podejrzenie; ażeby więc usunąć wszelki powód nieufności, każę natychmiast rozejść się żołnierzom. I za danym znakiem trąbka powtórzyła sygnał rozejścia, a wojsko w dobrym porządku robiąc w prawo zwrot, zmierzało do swojej kwatery.

Rahonka na ten odgłos, mniemając, że zawiera jakiś tajemny rozkaz, zaczął mnie prosić bym się nie gniewał, a on natychmiast przyprowadzi króla. Wojsko powróciło na swoje stanowisko, i w kilka minut przy straszliwym odgłosie rogów, bębnów i piszczałek, ukazał się król, krocząc ku nam w dziwaczny sposób. Usiłował on robić jak najdłuższe kroki, karykaturując w ten sposób chód żyrafy. Było to naśladowanie króla Mtese, władzcy Uganda, którego śmieszną dążnością opisywaną przez podróżnika Speke, było usiłowanie chodzenia jak lew. Kabba Rega, wyciągając się w ogromnych susach, szedł na czele szejków Kittakara, Matonse, Rahonka, Quonga i znacznej liczby pomniejszych dygnitarzy. Gdy był już niedaleko, muzyka uderzyła z taką precyzją w bębny, rogi i cymbały, że król zastraszony wpadł do namiotu w sposób wcale niegodny królewskiej mości. Wylękły, z twarzą która, swym wyrazem udanej odwagi zaledwie zdolna była pokryć wewnętrzną trwogę, trzęsąc się nerwowym strachem, usiadł po krótkiem wahaniu na dywanie przygotowanym dla niego, a reszta otoczenia zajęła w koło miejsce na skórach.

Tłum dochodzący do 2.000 ludzi, towarzyszył temu pochodowi, robiąc przerażający hałas z bębnów, rogów i piszczałek. W chwili, gdy król wszedł do namiotu, ucichła się na szczęście ta piekielna muzyka, i wojsko rozłożyło się kołem, aby w przyzwoitej odległości trzymać tłoczącą się gawiedź. Od czasu do czasu, ze straży przybocznej Kabba Regi, wyskakiwało kilku ludzi, i wywijając dzidami w prawo i w lewo, odpychali na czas jakiś tłum niedyskretny. Wszystko było na tę okazję ustrojone w świąteczną odzież z kory drzewnej; wielu miało na sobie skóry z dzikich zwierząt, a na głowach dziwaczne przystrojenie z rogów kóz lub antylop. Ważne niezaprzeczalnie stanowisko zajmują w Unyoro czarnoksiężniki, i dziś oszusty te, prawdziwa plaga okolicy, tworzyli komiczną maskaradę z najdziwaczniejszych ubrań. Brody mieli przywiązywane, a każda była zrobiona z kilkunastu krowich ogonów.

Kabba Rega był wysokiego wzrostu, ale nadzwyczaj wątłej budowy; twarz jego odznaczała się niemiłym wyrazem strzelającym z dużych czarnych oczów, czoło miał szerokie i niskie, kości policzkowe wystające, usta szerokie, zęby nadzwyczaj białe i na wierzch wysadzone, co wszystko razem nie tworzyło zbyt pięknej całości. Ręce miał pracowicie pomalowane, paznokcie starannie utrzymane, tak u rąk jak i u nóg, na których były przypięte sandały zręcznie zrobione ze skóry bawołu. Suknia okrywająca całą jego postać, była z kory drzewnej, której wyrobem trudni się okolica Uganda.

W tej postawie niezgrabnej, wystraszonej, przedstawiał się Kabba Rega, szesnasty król z plemienia zwycięzkich Gallasów, mający się za wielkiego monarchę. Był on z natury tchórzliwy, przebiegły i do najwyższego stopnia okrutny; nietylko rozkazał zgładzić ze świata swego szlachetnego brata, Kabka Miro, ale po śmierci jego, żeby spokojnie zasiąść na tronie, sprosił wszystkich swoich krewnych i podejmując ich suto i gościnnie, odesłał pod dozorem swojej straży przybocznej, aby szczęśliwie stanęli w domu. W drodze straż z rozkazu samego króla pomordowała krewnych, i Kabba Rega mógł odtąd spokojnie piastować swoją godność, nie mając jak tylko jednego nieprzyjaciela, wroga familijnego, Rionga, który szczęśliwie uszedłszy przed wszystkiemi zdradami, żył teraz swobodnie w północnych częściach Unyoro.

Przybycie moje powinno było dla króla być

bardzo na rękę, gdyż nie wątpił, że złączę się z jego armją, aby napaść na Rionga, i że jednocześnie oczyszczając okolicę z przekupnego żołdactwa kompanji, zgniotę nienawistnego wroga. Mimo jednak tych oczywistych korzyści, jakie sobie ułożył, z podejrzeniem spoglądał na całe otoczenie. Stosując się do tureckiej etykiety, kazałem mu podać piękny cybuch, przerabiany niebieskim jedwabiem i złotem; król wziął do ręki fajkę, z wielką uwagą zaczął przypatrywać się dużemu bursztynowi, ale odmówił palenia, podając za powód obawę, by dym nie zczernił jego zębów. Była to zaiste dziwna wymówka na dandysa środkowej Afryki. Prosiłem go więc, by raczył zatrzymać cybuch, jako przypomnienie mej bytności w jego kraju. Następnie ofiarowałem mu kawę i sorbety, których również nie przyjął, nalegając na dwóch swoich szejków, by wszystko spożyli, przyczem uważnie śledził ich każde poruszenie, zdając się czekać tylko na skutek trucizny. (C. d. n.)

Kronika paryska.

Paryż 25. września.

Z powrotem z krótkiej wycieczki nad morze, oglądnijmy się po Paryżu, co zrobił w czasie naszej niebytności i jakie w nim nowe fakta zasługują, bym je przed wasze postawił oczy. *Jean-Nu-Pieds*, dramat historyczny p. Alberta Delpit, narysowany wierszem na tle rewolucji z r. 1793, i w teatrze *Vaudeville* przedstawiony niedawno z bardzo ładnem powodzeniem, zdaje się dowodzić na serjo, że w gustach publiczności tutejszej korzystna nastąpiła zmiana, bo literatura poważna, zdrowa, z sensem, doczekała się nakoniec dni odwetu.

Ci, którzy nigdy w jej rezurekcję nie zwątpili; ci, którzy w chwili zupełnego upadku, w pełni cesarstwa, kiedy wszystkie teatry bez wyjątku zajęte przedstawianiem głupstw i bezeceństw, wszystkiemu co uczciwsze drzwi zamykały przed nosem; ci, powiadam, którzy wówczas nie dali się wziąć na lep zysków chwilowych i zamiast złotodajne pisać bzdurstwa, w cichości i zapomnieniu bądź co bądź poświęcali się kulturze istotnej sztuki — ci teraz z dumą i z radością podnoszą głowy.

Trzy z rzędu uczciwe sztuki „La fille de Roland,“ „La grand' maman“ i „Jean-Nu-Pieds“ hucznemi przyjęte oklaskami, nie mogą być policzonemi za fakt oderwany, za przypadek.

Sukces ich donośne ma znaczenie. Zwiastuje on wytwarzającą się reakcję, a zwiastuje według nas tem dobitniej, że żadna z wymienionych sztuk nie jest zupełnem arcydziełem, żadna powodzenia swego nie zdobyła gwałtem, niezwalczoną przemocą piękna, lecz tak pierwsza, jak druga i trzecia wyrobiły je sobie zaledwie znośnem wypowiedzeniem poczciwych rzeczy.

Powiedzieliśmy już gdzieindziej, co według nas w „Córce Rolanda“ na ostre zasługiwałoby krytyki. „Jean-Nu-Pieds“ pana Delpit więcej jeszcze i cięższe grzechy ma na sumieniu. W „Córce Rolanda“ był ładny, gładki, brzmiący wiersz; w „Bosym Janie“ (bo jakże inaczej spolszczyć tytuł powyższy?) nie masz go wcale, lub raczej jest, lecz tak ciężki bez nerwów, iż ladajaka nawet proza zastąpiłaby go z korzyścią. W tamtej była jedność akcji. Postać bohatera „Gerald'a,“ jakkolwiek według nas, pod względem charakteru przesadzona, jasno się odbijała na całości obrazu. Tu akcja płącze się niesłychanie. Bohaterów jest przynajmniej dwóch, jeśli nie więcej, obaj zarówno sympatyczni, i każdy z nich uwagę słuchacza w inną pociąga stronę, co ją biedaczkę na nader nierzyjemne naraża ekserc{ycje}.

W „Córce Rolanda“ była względna przynajmniej świeżość, oryginalność typów i zadania. W „Bosym Janie“? Kto czytał ostatni romans Wiktora Hugo „Le Quatre-vingt-treize,“ ten uwolni nas od zbytecznej odpowiedzi. Podobieństwo niesłychane, a romans poprzedził dramat o całe półtora roku, co dla tego ostatniego nię jest wcale korzystnym argumentem.

Tytuł dobrze wybrany „Bosy Jan“ (Jean-Nu-Pieds) to przezwisko bohatera (jednego z dwóch czy trzech wspomnianych) który dowodząc pułkiem w owej nieśmiertelnej armji „de Sambre et Meuse,“ gdy żołnierze raz skarżyć się zaczęli na brak obówia, zdjął buty i mówiąc „Lżej mi bez nich!“ boso poprowadził ich do zwycięzkiego ataku decydującego bitwę.

Co do treści, to ta w kilku krótkich słowach sformułować się pozwoli.

Margrabia de Cardigan ma dwóch synów. Jeden z nich pozostaje wiernym legitymistycznym zasadom rodu, i jako emigrant bije się w szeregach armji Sprzymierzonych monarchów przeciwko Francji; drugi nowe poślubia ideje, zostaje w kraju i walczy za jego swobodę. Miłość braci ku jednej i tejże samej kobiecie, ciągłe ścieranie się w ich sercach uczuć rodzinnych, namiętności osobistych, z głosem obowiązku i sumienia, oto kanwa dramatu. Widzieliśmy już to wszystko, lub prawie wszystko w romansie Wiktora Hugo, z trochę tylko większym oddane talentem, i trochę tylko lepiej przedstawiające się oku spektatorów.

Jeśli zatem od sumy zasług położonych w dziele, o którem mowa, odejmiemy najpierw pomysł nieoryginalny, następnie wykonanie— nie ciekawe, a nakoniec formę za ciężką, cóż z nich zostanie? Chyba dobre chęci, skorzystanie ze zręczności i zastosowanie się do prądu, jaki zaczyna przejawiać się w publicznej opinji. Tych trzech marnych „plusów“ dosyć, by w Paryżu, mieście wrażliwem *par excellence*, ulegającem temu co „na dobie“ jak żadne inne na świecie, by w Paryżu powiadam, nieznanej dziś osobistości wytworzyć jutro wspaniałe literackie znaczenie. Dalsze prace „półbożków“ dzisiejszych, pp. de Bornier i Delpit być może dowiedą niebawem, żeśmy się nie bardzo mylili, i że główną podstawą ich obecnego tryumfu była i jest jeszcze: okazja!

P. Gustaw Droz, autor powszechnie tu znanych i powszechnie, a nie bez racji, lubianych utworów, jak: „Monsieur, Madame et Bébé,“ „Babolain,“ „Autour d'une source“ itd. z nową śliczniuchną wystąpił powieścią. Tytuł jej: „Stawy“ (Les étangs.) Miano to posiadłości wiejskiej, którą autor niby nabywa, i w ruinach domostwa z jednego znalezionego portretu, z kilku listów pożółkłych, odbudowuje zapomnianą historję dawniejszych jej mieszkańców. Powodzenie swojej książki p. Droz nie zawdzięcza, jak panowie o których wyżej, kaprysom zmiennej mody. Zawdzięcza on je istotnemu talentowi, istotnej gracji swych utworów. P. Droz w plejadzie współczesnych romansopisarzy francuskich, zupełnie odrębne zajmuje stanowisko. Pisze on spokojnie, nie wysilając wyobraźni na zawiłe intrygi, kontentując się analizowaniem drobnych czułostek serca ludzkiego i w analizie tej (trudniejszej niż się zdaje), do wysokiej czasem dochodzi doskonałości.

Maniera jego ma coś pokrewnego z manierą niektórych angielskich pisarzy, Dickens'a naprzykład, chociaż w bardzo dalekim stopniu. Zamiłowanie domowego ogniska rodziny, dziatek, to wybitne cechy twórczych jego usposobień. Na tej cichej strunie wygrywa on czasem symfonje dziwnej rzewności. Upoetyzować drobne epizody życia familijnego, zająć niemi czytelnika, uniknąć przesady, deklamacji, sentymentalizmu, z jednej, a trywialności, pospolitości, z drugiej strony, to sztuka na jaką pierwszy lepszy nie zdobędzie się pisarzyna, a jaką p. Droz w wysokim posiada stopniu.

Jeśli — „Un sonnet sans défaut“ — jak mówi Boileau — „vaut seul un long poeme“ — to toż samo i z większą jeszcze racją powiedziećby można o obrazkach tego rodzaju. Napisanie takiej idylli, większej czasem wymaga dozy talentu niż napisanie czteroaktowego dramatu. W dramacie drastyczność przedmiotu galwanizuje często rękę i pióro piszącego. W dramacie czytelnik zajęty zgrabnie skombinowaną intrygą, ciekawem zestawieniem typowych jakichś postaci i dobrze oddaną grą charakterów, przepuści i przebaczy dużo komunałów, sporo deklamacji, nareszcie powtarzań za panią matką. W Sielance? Nic! Lada w niej przesada, lada frazes napuszony, lada źle zastosowane słowo, odstręcza go i krzywi. Drobne, łatwo oku ochwycić się dające rozmiary tego cacka poetycznego, wszelkich wzbraniają mu niedokładności, musi ono być rzewnem, lub nie zainteresuje, musi być naturalnem, lub rozśmieszy, musi być wyrzeźbionem misternie, lub postrada wszelką rację bytu. To nie posąg, to nie wielki obraz historyczny, w którym byleby ogólna ideja wzniosła, byleby ogólny wyraz udatny, dużo podrzędnych przebacza się usterek; to statuetka, klejnocik, miniaturka, od której w miarę tego, im mniej miejsca zajmuje, większych wymaga się doskonałości.

Sielanki pana Droz wszystkim powyższym wymaganiom najzupełniej odpowiadają. Wątpimy, by był ktoś, kogoby nie wzruszyły. Wątpimy, by był ktoś, coby po przeczytaniu ich z większą w koło siebie, na swój kąt domowy, nie oglądnął się przyjemnością; czulej nie uściskał żony, z większą tkliwością nie pogłaskał buziaków dziatek swoich.

Oto ogólne wrażenie jakie się z tej miluchnej wynosi lektury. Wrażenie tem cenniejsze, iż rzadkie, w ostatnich czasach zwłaszcza, gdy stosy tomów tylu panów pisarzy, do wcale innych sentymentów zwykły nas usposabiać.

Ósme to już z rzędu dziełko tego pióra wydaje w Paryżu księgarnia J. Hetzel 18 rue Jacob.

Większej ich połowy, jak „Monsieur, Madame et Bébé,“ „Entre nous,“ „Autour d'une source“, „Babolain,“ „Les étangs“ każdej przyzwoitej życzymy bibljotece.

Rodak nasz p. Piotr Hlebicki-Józefowicz, zajmujący się naukami przyrodniczemi w ogóle, a astronomją w szczególe, wydał w Paryżu po francusku dziełko pod tytułem: „Nowe pojęcie o nieskończoności, lub siła, ciepło i światło uważane jako podstawne zasady Metafizyki i Filozofji“ (Nouvelle idée de l'infini, ou force, chaleur, lumière, considérées comme unique principe de la métaphysique et de la philosophie.)

Dziełko to przedstawione członkom tutejszej Akademji nauk, nader pochlebne u wielu z nich zyskało przyjęcie. Jako zupełnemu profanowi pod tym względem, nie wolno mi o wewnętrznej wartości rzeczy w niem zawartych, absolutnego wydawać zdania. Cóżby wreszcie takowe znaczyło, po aplauzach wyżej wymienionych znakomitości naukowych? Kompetentniejszy sędzia pod względem formy zewnętrznej, powiem, że napisane jest stylem tak gładkim, jasnym i dobitnym, iż jakkolwiek traktuje o kwestjach specjalnych, może być czytanem i pojętem nawet przez ogół śmiertelników nie wtajemniczonych w naukę.

Warte tłumaczenia na język ojczysty, i ani wątpimy, żo sam autor, lub kto inny z uczonych współziomków, niebawem tego się podejmie.

Nazwisko Hlebicki-Józefowicz, nie po raz pierwszy, choć w innej formie, przed czytającym jawi się światem. Brat rodzony autora, Zygmunt Hlebicki-Józefowicz, były redaktor „Kłosów“ zmarły w 1867 roku, pisywał dla sceny. Jedna z jego komedyj „Panie kochanku“ otrzymała nagrodę na konkursie w Warszawie w r. 1859, druga „Po naszemu“ uwieńczoną została w roku następnym. Nakoniec jego dramat „Barbara Radziwiłłówna“ zjawiał się wielokrotnie na scenach różnych teatrów naszych. Drugi brat, Ludwik, od dość już dawna dziennikarskiej poświęca się literaturze. Szczere więc witaj! — nowemu a tak dobrze zarekomendowanemu pracownikowi, na polu wiedzy ojczystej.

Okazja tu skonstatować fakt pocieszający, jak wielu z naszych, bierze się obecnie do kultywowania nauk ścisłych, dość zaniedbywanych przez poprzednie pokolenia. Tem lepiej. Na zdolnościach nam nie zbywa. Zbywa nam prędzej, lub przynajmniej zbywało, na praktycznem ich zastosowaniu. Być może, iż większe obycie się z naukami ścisłemi wymagającemi trzeźwego zastanowienia się, srogiej logiki i stronienia od prędkich entuzjazmów, wzmocni w charakterze narodowym słabą dotychczas jego stronę: zmysł praktyczności.

Z listem obecnym skończył się rok krągły, od czasu jakeśmy w „Tygodniu“ z kołem łaskawych czytelników literackie zawiązali stosunki.

Daj ich Boże więcej! Tem szczerem życzeniem pismo niniejsze staropolskim zakończmy zwyczajem.

I do przyszłego

J. S. Chamiec.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— O korony i berła. Spółczesny historyczno-polityczny romans G. Samarowa, przekład z niemieckiego. Warszawa — 1875.

Pod nazwiskiem brzmiącem z rossyjska Grzegorza Samarowa, kryje się Niemiec, prawdopodobnie Hanowerczyk, wielki wielbiciel Bismarka. Cały ten romans jest apoteozą ks. Bismarka, a jak niektórzy utrzymują napisany z jego natchnienia i przy jego nawet współudziale. Oto osoby działające: ks. Bismark, król pruski, cesarz Franciszek Józef, Napoleon III i t. d. Bismark jest przedstawiony jako nadludzka, heroiczna wielkość. Powieść sama zaczyna się w Berlinie, przed wypowiedzeniem wojny r. 1866, w salonie Bismarka, kiedy król i Bismark przebywali najcięższe chwile wahań i skrupułów. Bismarka widzimy tu w wielkich rysach, jako wzorowego ojca rodziny, człowieka zamiłowanego w muzyce i bohatera w stanowczej chwili działania. Jako przeciwieństwo tej wielkości okazuje nam autor ministra spraw zagranicznych państwa austrjackiego, hr. Mensdorff — Pouilly, do którego salonów nas wprowadza, i zapoznaje z całym wyższym światem wiedeńskim i ciałem dyplomatycznem; a więc z księżną Obrenowicz, baronem Reichschach, hr. Clam Gallas, baronem Werterem, ks. Grammont i lordem Bloomfield. W ten sposób oprowadza autor czytelnika i po innych dworach europejskich. Co jednak w tym historyczno - politycznym romansie na wielkie zasługuje uznanie, to pobłażliwa wyrozumiałość, sprawiedliwość i sympatja dla wszystkich, nawet dla Napoleona III. Spotykamy tu dalej rozmowy hr. Bismarka z Benedettim, Mensdorffa z ks. Grammont, skrupuły przed wojną króla pruskiego, pełne rezygnacji refleksje cesarza Franciszka Józefa, i złośliwą radość z tego powodu Napoleona III.

— Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu opowiedziane najmłodszemu bratu przez Marję Gorecką. Warszawa — 1875.

Każda świeża kartka wspomnień, odkryta z księgi życia nieśmiertelnego Adama, jest najdonioślejszym nabytkiem dla literatury naszej, zwłaszcza tych kilka wspomnień rzuconych na mogiłę ojca przez własną córkę p. Marję Gorecką. Wspomnienia powyższe poświęcone najmłodszemu z braci, Józefowi, kreślone z serca i z miłością, wolne od ścisłości naukowo-literackiej, bez bliższych dat miejsca, czasu, i szkicowane z pamięci, są prawdziwe i wierne jak serce dziecka, miłującego pamięć zmarłych rodziców. Odźwierciedlają nam życie tego olbrzyma myśli i natchnienia jako człowieka, poświęcającego się męża, miłującego bez granic ojca. Sięgają one czasów profesury Adama w Lozannie, i lat późniejszych w Paryżu, gdy objął katedrę literatury słowańskiej. Są to najpiękniejsze może chwile poety przesnute w kole rodziny, chwile wypoczynku, ojcowskich pieszczot i cichej, pełnej ofiary miłości żony. Czytelnik znajdzie w nich także wierne wyjaśnienia z najdrobniejszemi szczegółami dotyczące śmierci rodziców autorki; pojedyncze zaś przygody z jej lat dziecięcych, chwile uciech i smutku, chociaż w zarysie już nam znane i nie są dla tego nowością, zasługują jednakże na uwagę, są bowiem najwymowniejszą skalą uczuć naszego wieszcza i wiernym tłumaczem jego ojcowskiego serca. — Upominek powyższych wspomnień naszkicowany lekko, serdecznie, pozostanie cennym materjałem dla bjografa, gdyż czerpany z najczystszych źródeł, uzupełnia nam obraz duszy największego wieszcza naszego.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Od czterech tygodni nie ma w księgarniach lwowskich „Drugiej książki rachunkowej“ dla 3ej i 4ej klasy wydziałowej i dopiero się teraz drukuje. Lecz tymczasem wielu uczniów nie ma się z czego uczyć i nie małą stratę z tego ponoszą. Rzecz ubolewania godna, że c. k. wydawnictwo książek szkolnych, gdzie te książki drukowane, nie postarało się wcześnie o nowy nakład.

— Z przyjemnością notujemy na tem miejscu, że wychodzący w Krakowie organ Hr. St. Tarnowskiego *Przegląd polski*, umieścił w ostatnim poszycie krytykę potępiającą znane dzieło Antoniego Walewskiego, i że *Czas* uznał za stosowne powtórzyć ją w swoim fejletonie. Za to Akademja milczy uporczywie.

— *Warta*, wychodząca w Poznaniu, umieszcza w numerze z d. 3 bm. sprawozdanie z komedji Aleksandra hr. Fredry (syna) *Wielkie bractwo*. Autor recenzji mniema, że ta komedja jest obrazkiem zdjętym ze stosunków społecznych w Galicji. *O sancta simplicitas!* Płaska farsa p. Fredry, nie mająca ani jednej postaci naszej, wymarzona w głowie autora i odtrącona nawet przez publiczność lwowską, ma być zdaniem recenzenta *Warty* obrazem stosunków galicyjskich! Szanowny recenzent płacze nad Galicją że nie ma dobrych pisarzy. Na to mu odpowiemy: Jakkolwiek widzimy nasze wady, czego jasne dajemy dowody, występując przeciw nim na każdym kroku, mimo to musimy stwierdzić fakt, aż nadto w oczy bijący, że pod względem literatury i sztuki, Księstwo z Galileją, jak ją recenzent nazywa, nawet równać się nie może. Przekonanie nasze dopiero wtedy cofniemy, gdy recenzent *Warty*, p. Rewera, zakasuje wszystkich naszych pisarzy, poetów i artystów. *Kuda kuchti do patyny!*

— *Z głębi morza* powieść Dickensa w przekładzie p. Jana Lama, którą ogłaszał w odcinku *Dziennik Polski*, wyszła w osobnem odbiciu.

— W Warszawie wyszedł „Pan Tadeusz“ po rossyjsku. Przekładu dokonał p. Mikołaj Berg, profesor uniwersytetu warszawskiego, i dokonał zadowalniająco.

— Dwa nowe pisma w Warszawie, o których donosiliśmy swego czasu, pojawią się tam niebawem. Pierwsze będzie się nazywało bardzo pretensjonalnie, bo *Biesiady (?) literackie*, a drugie *Ateneum*. Redaktorem pierwszego będzie p. Maleszewski, a drugiego p. Herman Benni.

— Znany ilustrator warszawski, p. Andriolli, skończywszy *Marję* Malczewskiego, która ukaże się w sam dzień Bożego Narodzenia rb. postanowił zająć się teraz illustrowaniem *Pamiętników kwestarza* Chodźki. Wdzięczny to temat dla rysownika tak utalentowanego.

— *Iliada* Homera, wyjdzie w Warszawie w przekładzie p. Feliksa Jezierskiego.

— Cenzura warszawska pozwoliła p. Zeligowi Słonimskiemu na wydawanie dziennika w języku staro - hebrajskim pod tyt. *Ga-Cefira* (Jutrzenka). Również p. Zygmunt Rościszewski otrzymał pozwolenie na wydawanie gazety p. t. *Korespondent Płocki*, której odpowiedzialnym redaktorem będzie p. Józef Dunkel, sekretarz kolegjalny.

— Wyszedł w drukarni p. Rusinowskiego, w Tarnowie, monodram wierszem napisany, „Skazana“, przez A. Ł., nakładem A. Ładnowskiego. Monodram ten dedykuje autor pani Hoffman, artystce krakowskiej sceny.

— W numerze berlińskiego *Bazaru* z d. 20go b. m. znajduje się wcale udatne tłumaczenie *Sobótki* Seweryna Goszczyńskiego. Tłumaczem jest niejaki p. Winklewski. Szkoda tylko, że poemat został trochę skrócony.

— Drezdeńska politechnika, ma od d. 1 bm. nowy oddział, w którym młodzież będzie się uczyła budownictwa poważnego.

— Konsorcjum, które objęło wiedeńską Operę komiczną, ogłosiło trzy konkursy na operetkę, dramat ludowy i farsę ze śpiewami. Wkrótce zostaną ogłoszone bliższe warunki tych konkursów.

— Z fundacji książąt Czartoryskich ogłoszone były w ubiegłym roku szkolnym na wydziale prawa w uniwersytecie Jagiellońskim dwa konkursy, w których Wydział przyznał nagrody następującym słuchaczom praw: Z prawa rzymskiego nagrodę pierwszą w ilości 200 zł. p. Brzezińskiemu, za pracę: „O stanowisku Latynów juniańskich.“ Z prawa polskiego nagrodę pierwszą w ilości 200 zł. p. Windakiewiczowi za pracę: „O zasadzie jednomyślności i większości głosów za Zygmunta Augusta“; nagrodę drugą 100 zł. p. Tarchalskiemu za pracę: „O statucie Łaskiego“; nagrodę trzecią p. Dadlezowi za pracę: „O mowach Modrzewskiego w przedmiocie kary śmierci“. Na rok bieżący ogłoszone będą w październiku na wydziale prawa i administracji w myśl statutu fundacji dwa konkursy, z prawa kanonicznego i z prawa polskiego. Wynik zaś konkursu ogłoszonego w roku ubiegłym na wydziale filozoficznym z historji polskiej, wkrótce roztrzygniętym i nowy konkurs również ogłoszonym zostanie.

Podróże i odkrycia.

— Oddawna zapowiadane dzieło Juliusza Payera, znanego podróżnika austrjackiego, który zeszłego roku wrócił od bieguna północnego, zaczęło nareszcie wychodzić we Wiedniu u Alfreda Höldera. Pierwszy dwuarkuszowy zeszyt mamy w rękach. Jest on wydany bardzo starannie i ozdobiony licznemi drzeworytami. Styl jasny i nie pretensjonalny. We Wiedniu pojawienie się tego zeszytu zrobiło prawdziwą rewolucję. Nakładca, który przygotował się z pięciu tysiącami egzemplarzy, otrzymał w pierwszym tygodniu zaraz zamówień na 50,000. Zeszytów wyjdzie razem 24, w przerwach 14to dniowych.

— W Londynie otrzymano listy z głębi Afryki od Stanleya, naczelnika wyprawy, wysłanej kosztem dzienników *Daily Telegraph* i *New-York-Herald* dla prowadzenia dalej poszukiwań prowadzonych przez Livingstona. Listy Stanleya datowane są 1 marca i 15 maja. W pierwszych dniach marca, Stanley znajdował się u brzegów jeziora Wiktorji, zatem w ciągu 103 dni przebył 720 mil. Zwidził okolicę zupełnie nieznaną, w większej części lesistą, gdzie wiele ucierpiał od głodu i przez kilka dni miał do walczenia z ludem dzikim i okrutnym, nazwiskiem Watury, który mu ubił 21 ludzi. Dwóch Europejczyków z orszaku Stanleya: Edward Pocock i Fryderyk Burker umarli na gorączkę. Stanley zbadał brzegi jeziora i opisał kraj przez siebie zwidzany.

— Szczególne odkrycie literackie zrobił pewien rybak szwedzki, który niedawno zwidził Nowuju Ziemliu. Oto przywiózł on do Hammerfest dziennik prowadzony od 1go czerwca do 29 sierpnia r. 1580, przez Holandczyka Barent, który w r. 1596 — 97 zwidził tę wyspę. Pismo zachowało się bardzo dobrze, ale języka nie mogą zrozumieć rodowici Holendrzy. Okazuje się z tego, że używane wówczas narzecze, różniło się bardzo od dzisiejszego języka holenderskiego.

— Angielski okręt „Challenger“ który został wysłany na wody Cichego Oceanu, w celu mierzenia głębokości wody, był niedawno na wyspach Sandwichskich, a teraz udał się do Valparaiso. Sondowania między Japonją a wyspami Sandwichskiemi wykazały miejscami niesłychaną głębokość, wynoszącą 3900 węzłów. Takiej głębokości wody nigdzie dotąd nie odkryto.

— Szwedcy podróżnicy do bieguna północnego, wrócili d. 26 września do Hammerfest z bardzo bogatym zbiorem przedmiotów z historji naturalnej. Uczeni: Nordenskiöld, Sundström i Stuxberg wracają przez Syberję do Szwecji.

— Na Islandji zaczynają wulkany na nowo wybuchać. Dnia 16 sierpnia rb. w okolicy Myvatus Orenfi zaczęła wybuchać lawa równocześnie z dwudziestu kraterów. Grzmot był niesłychany, wszystkie skały dokoła drżały jak liście, a olbrzymie kamienie latały jak ptaki w powietrzu. Dziś uspokoiło się już na wyspie.

Wojskowość.

— Austrjacki fabrykant broni Wernld, otrzymał od rządu francuskiego miljon karabinów do przerobienia.

Przemysł.

— Dzienniki francuskie zajmują się bardzo nowym materjałem przemysłowym, którym są... skóry wężowe. We Francji istnieje tak nazwana komisja stałej wystawy kolonjalnych wyrobów. Zadaniem tej komisji jest wyszukanie sposobów przemysłowej i handlowej eksploatacji naturalnych płodów francuskich posiadłości kolonjalnych. Komisja przez długi czas starała się wynaleść środek wytępienia niezmiernie mnożących się wężów. Nie mogąc Indjanom i murzynom naznaczyć nagród dla zachęcenia ich do tępienia gadów, komisja postarała się o to, aby pobudzić ich do tego innym sposobem, a mianowicie przetworzeniem skóry wężowej na materjał pożyteczny dla człowieka, a zatem przydatny do handlu. Przez długi czas bezskutecznie starano się wynaleźć sposób garbowania skór wężowych, ale robione próby nie dowiodły żadnego praktycznego rezultatu, dopiero świeżo znaleziono sekret i doprowadzono umiejętność garbowania skór wężowych do takiej doskonałości, że skóry te trwałością, miękkością, elastycznością nie ustępują w niczem skórom cielęcym i baranim, i dziś stały się dobrym dla przemysłu nabytkiem. Na wystawie kolonjalnej przy ministerstwie marynarki w pałacu przemysłowym, można już oglądać rozmaite przedmioty z tego nowego materjału, jako to: portmonety, portfele, torby podróżne i myśliwskie i t. p. Nowość ta, mianowicie wyroby ze skóry boa, we Francji zaczynają niezmiernie wchodzić w modę.

ROZMAITOŚCI.

— Zjednoczone Stany Ameryki, jak powszechnie wiadomo, otwierają na cześć stuletniej rocznicy niepodległości swojej w przyszłym roku wielką wystawę w Filadelfji, która była pierwszą stolicą młodej Unji i dziś jeszcze po New-Yorku jest największem miastem w Ameryce. Pomimo tak znacznego przeciągu czasu, jaki do jubileuszu jeszcze pozostaje, Stany Zjednoczone, a przedewszystkiem Filadelfja, z gorączkowym pospiechem czynią przygotowania do tej ważnej uroczystości. Z amerykańskich dzienników dowiedzieć się można, jak wiele już pod tym względem zrobiono, ale podnoszą się także głosy, które w tej całej ruchawicy wskazują strony komiczne. Mamy właśnie przed sobą podobną satyrę i to pochodzącą z ust człowieka, którego sama osobistość zdolną jest żywy obudzić interes. Przed kilku laty w Ameryce Północnej, krainie najmniej poetycznej w świecie, zwrócił powszechną uwagę tom poezyj zatytułowanych: „Songs of the Sierras" przedstawiających romantyczną stronę lasów dziewiczych, stepów i dzikiego kalifornijskiego żywota — a wszystko to w najjaskrawszych barwach. Pomimo pewnych usterek formy i szorstkości wyrażeń, wysoki polot tych utworów wskazywał, iż stoi przed publicznością prawdziwy poeta z Bożej łaski. A wkrótce nawet same wady tych poezyj, zmieniły się w szczególny urok, skoro się dowiedziano, że genjalny dotąd zupełnie nieznany ich twórca jest Indjaninem. Wprawdzie pokazało się potem, że Joaquin H. Miller — tak się zwał poeta — właściwie nie jest Indjaninem, ale zarazem przekonano się także, iż długie lata przepędził pomiędzy nimi, wspólnie żyjąc, że w „Wigwamie" (chacie indyjskiej) mieszkał i ożenił się z jedną „Sqwaw" (dziką kobietą) że nieraz zbrojny „tomahawkiem" przyjmował udział w walkach najokrutniejszych plemion indyjskich. Jakim sposobem dostał się w towarzystwo Czerwonoskórych, to pokrywa dotychczas jeszcze mgła tajemnicy, — ogólnie jednak twierdzą, iż młodzieniec ten po burzliwem życiu, znużony wymysłami cywilizacji, zmarnotrawiwszy majątek, i zerwawszy z rodziną à la Karol Moor, rzucił się w lasy i tu pod cieniem ich dziewiczej zieloności uczuł budzące się w duszy akordy pieśni. Prawda to, czy nie, dosyć że Joaquin Miller należy obecnie do najulubieńszych pisarzy w Stanach Zjednoczonych, i z pod jego pióra wyszła ta dobrotliwie zjadliwa broszurka o stolicy Pensylwanji, którą właśnie mamy przed sobą. Ażeby Joaquin Miller miał na celu poniżenie Filadelfji i przyszłej uroczystości amerykańskiej w swoim utworze, oto nie godzi się posądzać ani jego ani nas, którzy zeń wyjątki podamy. Są to tylko żarty — a życzymy wszystkim naszym czytelnikom, aby się znaleźli w przyszłym roku w szczęśliwej pozycji przekonania się na miejscu, o ile chlubna rzeczywistość zada kłam żartom amerykańskiego pisarza. Pozwólmy jednak raz wreszcie mówić jemu samemu. „Gdyby jaki anioł — pisze Joaquin Miller — rozwinąwszy skrzydła zawisł na chwilę nad mglistą atmosferą Filadelfji, jakież by odgłosy, wyrwane z wrzawy i zamętu ulicznego do niego doszły? Czyżby usłyszał jak wielki jaki i dobry mąż każe przed ludem o pokoju i rozumie? A może uderzyłby słuch jego głos Sokratesa nauczającego mądrości, — lub tony lutni słodko wznoszące się z tego oceanu domów, pomiędzy dwiema rzekami? Bynajmniej! We wszystkiem, przez wszystko i nad wszystkiem co się tu myśli, mówi, robi, usłyszał by jedyne, wciąż powtarzające się, straszliwe, nużące na śmierć słowo: „Centennial, (stuletni jubileusz) Centennial, Centennial!" Idziesz przez ulicę i przerażony wrzawą tłumów, pytasz pierwszego lepszego przechodnia: co się stało? Zapytany zatrzymuje się, wlepia w ciebie wzrok napół litośny, napół przerażony, i biegnie dalej, rzucając ci przez ramię grzmiące słowo „Centennial!" Co to znaczy? Znaczy, iż wszyscy ci ludzie zabierają się właśnie nie zostawić kamienia na kamieniu w tem poczciwem starem kwakierskiem mieście — a to w celu urządzenia jubileuszu! Ostatnia to rzecz, którą słyszysz wieczorem, pierwsza która cię o ranku pozdrawia. We śnie dźwięczy ci to hasło, jak gong chiński na którymby jakiś demon złośliwy uparł się wygrywać kołysankę. I już drugiego dnia pobytu w tem mieście, nie możesz się dostatecznie na klęczkach nadziękować niebu, że podobne uroczystości raz tylko lub dwa najwyżej w ciągu lat stu zdarzyć się mogą. O nie, czuję to wyraźnie, że mi się Filadelfja w takim stanie zupełnie nie podoba. W New-Yorku oczekuje się już z góry na podobną wrzawę, na taki zamęt tłumów. A komu się to nie podoba, może uciekać z daleka, zatkawszy sobie uszy woskiem i ominąć ten Babilon. Filadelfja zaś, którejbyś nigdy o taki hałas nie posądził, chwyta cię zdradziecko. Wszystkie tradycje tego miasta, sama nazwa jego mówi o pokoju, spoczynku, łagodnej długowieczności i sielankowej ciszy — serce się człowiekowi kraje, gdy ujrzy obecnie to stare, stateczne miasto, stojące do góry nogami i w pocie czoła wyłamujące członki swoje jak klown na arenie cyrku!" Tu autor przystępuje do opisu powjerzchowności i zwyczajów Filadelfji: „Co się tyczy Filadelfji, jako miasta — ha, tu już nie mogę się obyć bez nastąpienia temu lub owemu na odciski. Jakież to długie i samotne ulice! Ciągną się i wyciągają w dal, jakby chciały dotrzeć do Gór Skalistych i za Ocean się przewlec. Zresztą jest to miasto doskonale nowiutkie. Wszystko wymalowane na czerwono lub biało i wygląda tak, jakby wczoraj dopiero pędzel odjęto. Świeży lakier pachnie wszędzie, każda ściana wala. Domy wyciągnięte pod sznur — podobne jeden do drugiego jak dwie krople wody. Wszystkie czerwone. Krwisto purpurowe mury z białemi zamkami okien i okienicami, ze schodkami i okładzinami przy drzwiach z białego marmuru, co wchód do nich wchodowi do grobowców familijnych podobnym czyni. Tylko tu i owdzie wystaje z tych żołdacko uszykowanych szeregów biało-czerwonych dom jakiś, okazujący bojaźliwą chętkę indywidualizmu, niezależności. Ach! przypominam sobie pałac, z poważnego zbudowany granitu. Ma portyk gotycki i z każdej strony po dwa wysmukłe okna. Ale całość osobliwie wygląda. Przypomina mi Newgate (więzienie w Londynie). Zaiste, muszę wyznać, iż Filadelfja tak jak obecnie wygląda, jest najszpetniejszem miastem jakie mi się kiedykolwiek widzieć udało. A jednak znajdują się w niej budowle, szczególniej kościoły, prawdziwie piękne. Katedrę nawet nie tylko piękną, ale przepyszną nazwać można. Dla czegóż jednak wszystkie te kościoły z taką trwożliwością pod zamknięciem trzymają? W Kalifornji, w Meksyku, a także w Nowym Świecie, — ba w pogańskich krajach nawet — kościoły wiecznie otwarte dla każdego. Tutaj tylko w Niedzielę i to jedynie o pewnych godzinach. A i wtedy nawet strzeże ich opasły odźwierny przy wejściu z taką surowością, jakby się bał, że ktoś gotów bez pozwolenia pastora przejść do nieba kontrabandą przez kościół. Piękne budowle znaleźć można pomiędzy temi kościołami. Niektóre z nich są tak wielkie i okazałe, jak Opactwo Westminsterskie w Londynie. Nie dawniej, jak wczoraj, widziałem jeden u którego gzymsów i narożników naciągnięto druty, ażeby nie dozwolić gnieżdżenia się ptactwu. Nawet drobnemu oskrzydlonemu ludowi nie pozwalają przyczepić gniazd swoich do tych rzeźbionych i delikatnie haftowanych gzymsików, murów pod któremi dostojna Filadelfja się modli. Jak tam musi być czysto w tym kościele — jak czysto i pusto! Widziałem także gdzieniegdzie maleńkie piękne placyki, obsadzone drzewami, — a na nich śliczne dzieci i obrzydliwe fontanny, które mają ten tylko chwalebny zwyczaj, że nigdy ani kropli wody nie wyrzucają. Bo i jakaż by to mogła być woda z tak brudnej fontanny! Przed jednym z tych potworów publicznych, zwanym Rittenhouse Square siedziałem niedawniej, jak wczora. Widać tam cztery końskie łby, zwrócone w cztery strony świata. Wszystkie zgięte ku ziemi, jak gdyby do zdychających zwierząt należały. I — straszno wymówić — woda, jeśli z tej fontanny tryśnie czasem, kapie z końskich nosów! Obrócę się tyłem do każdego człowieka, który przy jakiejkolwiek drażliwości, znoszącej nawet widok krokodyla, na widok tej fontanny nie uczuje obrzydzenia. Uważałem z niemałą pociechą, że dzieci instynktownie zbierały się na przeciwległym krańcu placu. Piedestał tego arcydzieła nosi na sobie napis „Fontanka ta ofiarowaną została przez... X... miastu Filadelfji w darze." Piękny mi podarunek!... Jeżeli jest metampsyhoza, dawca zamieniony będzie po śmierci za karę w podobnego konia, jak na jego fontannie! — Filadelfja posiada kilka klubów pierwszego rzędu, a pomiędzy niemi szczególniej jeden, który szczególniej lubię. Zdaje mi się, że to będzie „Reform Club." Wchodzimy do niego przez Chestnutstreet, przebiegamy rozmaite budowle i dochodzimy wreszcie do otwartego ogrodu, napełnionego mężkiem i damskiem towarzystwem, usadowionem pod cieniem pysznych drzew przy stołach. Nad zgromadzeniem wiszą chińskie lampy w szeroko rozciągniętych łukach i muzyka — najlepsza, jaką w Ameryce dotąd słyszałem — rozbrzmiewa z niedalekiej werandy. W około widziałem hoże postacie i słyszałem głosy ludzkie, i zdawało mi się że jestem w pięknej Wenecji nad Adrjatykiem i zachwycony stałem nie ruszając się z miejsca, patrząc i nadsłuchując. Ach! gdybym był na czas odszedł. Nagle zabrzmiało przy mnie okrutne słowo: „Centennial!" i w tysiącznych echach rozniosło się po ogrodzie... Jubileusz, wszędzie jubileusz. A to mogłoby idjotę pozbawić rozumu! Najpiękniejszą jednak niewątpliwie miejscowością w Filadelfji, prawdziwym cudem, tryumfem tego miasta — jest park Chestnut-Hill'u. Niewątpliwie najpiękniejszy to park na całej ziemi. Znajdziesz w nim domy, w których Tomasz Moore, poeta, i Robert Morris miljoner i więzień za długi, mieszkali lub gościli. Myślę że muszą się tam gdzieś znajdować ze dwa chociaż pola bitew, klasztór i jeszcze coś podobnego. I tu także znajduje się i to niejedna fontanna, ale bynajmniej nie darowana przez jednego z filadelfijskich mecenasów. A miejsca w tym parku tyle, że nieraz do ostatka sił nachodziłem się, napływałem, najeździłem — a nie wiem dotąd jeszcze, gdzie się ten park kończy. Dwie rzeki przezeń płyną, czystemi jasnemi falami, a po nich poluje, wiosłuje i żegluje tłum nieustający. Tak najpiękniej, najspokojniej, najdoskonalej jest w głębiach Facrinunt Parku. Jeżeli dbasz o siebie, nie wychodzisz ztamtąd, nic bowiem piękniejszego nie zobaczysz — a czatujący w wyjściu jubileusz pochwyci cię, zagłuszy, zadusi, rozszarpie na ćwierci."

— W Turyńskim sądzie kryminalnym, obecnie toczy się sprawa przeciwko pięciu przestępcom, obwinionym o zamordowanie sardyńskiego księdza Satto-Muzio. Zabójstwo dokonanem było w chwili, gdy zamordowany konno objeżdżał swoje gospodarstwo. Zabójcy ugodzili go siedmiu kulami i dobili potem nożami. Po długich i starannych poszukiwaniach, dośledzono nareszcie, że rodzina Satto-Muzio, od wieków żyła w nieprzyjaźni z inną rodziną osiedloną w Sardynji, i zamordowany sobą spłacił dług zemsty, ciążący na jego familji. Sprawa o to morderstwo toczy się w Turynie, z powodu, że w Sardynji przeprowadzenie procesu byłoby niemożliwem, dla tego, że świadkowie z obawy wendetty odmawialiby składania zeznań, a nadto można się było lękać zamachu na oswobodzenie uwięzionych, jak tego bywały już przykłady.

— Ciekawy program pogrzebu przez spalenie, mającego się odbyć w tych dniach w Medjolanie podaje medjolańska gazeta „Pungolo." Świadczy ona jak tendencyjny i ostentacyjny charakter zarazem zaczyna przybierać ta innowacja sanitarna, oparta na naukowych argumentach nietylko w Niemczech, ale i za granicą: Będziemy świadkami uroczystego spalenia trupa ludzkiego, kawalera Alberta Kellera. Medjolan przyjmie tym razem wielką reformę sanitarną, za które obecnie przemawiają największe znakomitości naukowe. Municypalność już poczyniła kroki, aby się wszystko z wielką uroczystością odbyło. Już wyznaczono miejsce, gdzie będzie wystawioną kaplica z ołtarzem kremacyjnym. Będzie on się wznosił po za częścią pomnikową cmentarza, naprzeciwko kostnicy. Na zaproszenie junty najznakomitsi zwolennicy kremacji będą zaproszeni na tę ceremonję; między innymi pp. Palasciano z Neapolu, profesor Colatti z Padwy, Dujardin z Genui, Marato z Wenecji itd."

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).